AS



Nr. 36
4 WRZEŚNIA 1938 R.
CENA 40 GROSZY

BALETNICA

Rosemary Lane na tle obrazu E. Degas'a



Przenieśmy się w okolicę położoną m. w. 12 kilometrów na zachód od miasta starożytnego Tyńca. Urocze to zaiste miejsce, jedno z najciekawszych pośród tylu innych przepięknych zakątków okolicy Krakowa i to zarówno dzięki niezwykle malowniczemu położeniu na stromej skale nadwiślańskiej, jak niemniej dzięki swej niezmiernie odległej i interesującej przeszłości. Krakowianie, a zwłaszcza młodzi harcerze, kajakowcy i wioślarze, często obierają Tyniec jako cel swych wycieczek. Najliczniejsze masowe pielgrzymki pieszo, wozami lub statkami, odbywają się tu co roku w dniu 29 czerwca, w którym przypada tu wielki odpust patronów kościoła św. Piotra i Pawła. Warto bodaj w krótkich słowach wspomnieć o przeszłości tego miejsca, tak bardzo odległej, że ginie ona w pomroku romantycznej legendy.

Sama już nazwa Tyńca jest niezmiernie starożytną. Pochodzi ona od prastarego polskiego wyrazu tyn albo tynina, oznaczającego tyle co ogrodzenie. Tyniec zatem nie był niczem innem, jak miejscem ogrodzonem, zamkniętem, warownem, czyli poprostu zamkiem lub grodem. Nazwa ta związała się wszakże w czasach zamierzchłych nie z miejscem na skale nad Wisłą, gdzie w nurcie jej przegląda się stary, dwuwieżowy kościół i przyległy doń, sławny ongiś na całą Polskę, klasztor zakonu Benedyktynów, dziś zamieniony rękami czasu w zupełną ruinę. Nazwę Tyńca nosiło zapewne już w czasach przeddziejowych wyniosłe, panujące nad okolicą wzgórze zwane dotąd Grodziskiem, położone na zachód od kościoła i ruin, wyniesione na ok. 70 metrów nad poziom Wisły. Jest ono w rzeczywistości rozległem przedhistorycznem grodziskiem, obecnie zalesionem, co spowodowało, iż dotąd jeszcze naukowo nie było badanem. Okolone szeregiem stromych wzniesień, bagnami i szerokim łukiem Wisły, musiało być istotnie w prawieku siedzibą pana czy księcia tych okolic. Do dziś dnia wzgórze to zachowało widoczny zarys owalnego, okazałego grodziska o sztucznie wyrównanej powierzchni, okolonej wałem, przypłaszczonym z biegiem stuleci. Mogło tu na górze, okolonej bagnami, pomieścić się dużo ludzi i stanąć wiele drewnianych budynków. I dziś jeszcze okoliczne pola lud nazywa „Podgrodziem", a pobliskie prastare osady Piekary, Skotniki, Łagiewniki, Woźniki, Strzelce, Korabniki i Kuchary dowodzą, że musiała tu kiedyś w mroku dziejów istnieć organizacja rycerska, zaś mieskańcy tych osad obowiązani byli do wszelakich świadczeń na rzecz panów grodowych.

Z owem przeto grodziskiem tynieckiem związana została już w średniowieczu ciekawa i bogata w treść legenda o Walgierzu Udałym (czyli Dorodnym), potężnym panu na Tyńcu, spopularyzowana w nowszych czasach przez piękną opowieść Żeromskiego. Po raz pierwszy podanie to zostało zapisane już w 13 w., w Kronice Wielkopolskiej. Brzmi ono w skrócie jak następuje. W czasach pogańskich był panem na Tyńcu możny Walgierz (inaczej Walcer lub Walter), przodek rodu Starżów czyli Toporczyków. On to pojmał i w Tyńcu uwięził księcia na Wiślicy, Wisława, z rodu Popielowego. Walgierz ów miał żonę, piękną Heligundę, córę króla Franków. Poznał ją na dworze jej ojca, śpiewem podbił jej serce i nakłonił do ucieczki do Polski. Przebyli wpław Ren, lecz za rzeką dogonił ich królewicz niemiecki, rywal Walgierza. Po pomyślnym dla Walgierza boju, w którym legł jego współzawodnik, zakochana para przybyła do Tyńca. Wnet potem Walgierz wyjechał i nie było go dwa lata. Heligunda tymczasem zwolniła z kaźni Wisława i uciekła z nim do Wiślicy. Po powrocie do domu Walgierz zapłonął strasznym gniewem, ruszył na Wiślicę, lecz przez zdradę żony został pojmany przez Wisława. W okrutnej bezsile, przykuty łańcuchami, musiał patrzeć na pożycie zdradzieckiej pary. Straż nad Walgierzem zlecił Wisław swej siostrze, starej i szpetnej. Ta pokochała więźnia i wzamian za przyrzeczenie ślubu przecięła kajdany i przyniosła jego miecz. Wówczas Walgierz wyzwolony przebił mieczem Wisława i wiarołomną Heligundę, a sam z wielkiemi skarbami powrócił do Tyńca.

Historycy, którzy badali tę ciekawą legendę, dowiedli, iż jest ona złożona ze strzępów prastarych podań o Walterze z Akwitanji z cyklu Nibelungów. Lecz związanie jej z Tyńcem i Wiślicą już w w. 13-ym dowodzi, iż żyć jeszcze musiała wówczas tradycja o jakichś książętach tych miejsc, o ich rywalizacjach, zdradach, krwawych napadach i bojach. Na zrębie tej tradycji, sięgającej jeszcze w przedpiastową epokę, połączono okruchy poematów zachodnich i spojono je w poetyczną całość.

Z biegiem czasów z starożytnego grodziska przeniósł się punkt ciężkości na stromą nadwiślańską skałę, gdzie już w 11 stuleciu osadzony został zakon Benedyktynów. Rok założenia klasztoru otoczony jest jednak mgłą niepewności. Historycy naogół zgodnie uważają za fundatora Kazimierza Odnowiciela, zwanego Mnichem i podają, idąc za Długoszem, jako datę powstania klasztoru rok 1044. Rola Benedyktynów w owej epoce była niezwykle doniosła. Spełniali doniosłą rolę w nawracaniu pogan, utrwaleniu wiary, wydawali z swego łona licznych biskupów misyjnych, kształcili kler, stanowili obsadę kapituł katedralnych, m. in. również i w Krakowie. Oni jedni posiadali w ówczesnem społeczeństwie rozległą naukę, oni znali kunszt murowania budowli z kamienia. Rychło pomnożyły się ich klasztory w Polsce, Tyniec wszelako uposażony olbrzymiemi włościami, zajmował wśród nich miejsce naczelne. Opata jego zwano ongiś „abbas centum villarum", opatem stu wsi i panem pięciu miast ponadto.

Bogactwa wszelako nie zapewniły Tyńcowi ciszy i spokoju. Dzieje jego były burzliwe i zmienne. Kościół i opactwo wielokrotnie były niszczone przez najeźdźców, Tatarów, Szwedów, Moskali. Pożary obracały gmachy w perzynę, a na ruinach powstawały wciąż nowe, okazalsze budowle. Wśród zamieszek wojennych w 2 poł. 18 w. mnisi się rozpierzchli, a po powrocie zastali budowle obrabowane i zniszczone. Po tym rozbiorze Austrja zagarnęła dla rządu dobra opackie, a tworząc w r. 1786 nową diecezję tarnowską, mianowała biskupem opata Janowskiego. Wówczas też reszte niezmiernie ongiś bogatego skarbca przewieziono do katedry tarnowskiej, gdzie dotąd stanowią ozdobę świątyni. Cenniejszem może jeszcze od skarbca było tynieckie archiwum i bibljoteka, obfitująca w mnóstwo niezmiernie ważnych dla dziejów naszych w średniowieczu dokumentów, kronik i ksiąg. Te przewiózł rząd austrjacki do Bibljoteki Uniwersyteckiej we Lwowie, gdzie ku ogromnej szkodzie dla nauki zgorzały w czasie bombardowania miasta przez wojska austrjackie w r. 1848.

Podjęte w pocz. 19 w. próby osadzenia tu Benedyktynów niemieckich nie powiodły się. Kościół i klasztor podlegały coraz to bardziej opuszczeniu i ruinie. Budynek klasztorny ugodzony został w r. 1831 piorunem, od którego zgorzał, kościół przytem znacznie ucierpiał. Wówczas to wieże straciły wyniosłe barokowe hełmy i już nigdy ich nie odzyskały.

Dziś w skromnem wnętrzu kościoła, za załamami walących się ruin klasztoru, w starych warownych ongiś bramach i resztkach fortyfikacyj — wszędzie czatująca melancholja wita smutno przybysza, pouczając wymownie o niweczącej wszystko potędze czasu. I tylko nieodmieniona przez wieki przyroda uśmiecha się radośnie, oczarowuje wędrowca uroczemi widokami falującej w słońcu okolicy, lesistych wzgórz i rozścielonych niby barwne kobierce pól i łąk, nad któremi rozlega się beztroski śpiew ptaszków, nucących tę samą pieśń odwieczną, którą kiedyś śpiewały w czasach mocarnego Walgierza. I tak samo, jak za jego dni, przecina uroczy krajobraz kręta wstęga Wisły, szemrzącej odwieczny epos o wiekach, które minęły, tak jak mijają jej wody w otchłannym nurcie Bałtyku.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA W CZECHOSŁOWACJI Kc. 2.50

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 36 **Niedziela, 4 września 1938** **Rok IV**

ASY NUMERU 36-GO:



Fot. Feliks Nowicki — Kraków

Są momenty, gdy ruch uliczny w starych miastach słabnie, a nawet zamiera podczas dnia i wówczas zdumiewa przechodnia obraz jakby wyczarowany z przed 50 lat, kiedy nie znano jeszcze samochodów i tramwajów, nieodłącznych współczynników życia dzisiejszej ulicy. — Na zdjęciu: Widok na Mały Rynek z ulicy Mikołajskiej w Krakowie.

„Wodne panny"



Na prawo: Dziewczęta z zapałem wzięły się do ciężkich lin...

Zawieramy coraz ściślejsze przymierze z morzem. Nietylko „cała Polska" spotyka się latem na naszem wybrzeżu, rozkoszuje się pięknem morza i darami wody i słońca — lecz także coraz częściej i coraz liczniej wyruszamy na pełne morze po nowe i niezwykłe dla „szczurów lądowych" wrażenia.

Kto pragnie podróżować z komfortem, lub komu wiek, czy skąpe siły nie pozwalają na odegranie roli autentycznego wilka morskiego — bierze udział w zbiorowej wycieczce morskiej, w czasie której za paręset złotych otoczą go wszelkim komfortem, zapewnią sto procent bezpieczeństwa, a morze wyda mu się nie groźnym i zawsze nie obliczalnym żywiołem, lecz poprostu wygodną autostradą, po której statek-miasto spokojnie dotrze do obcego portu.

Ale młodzi pragną innnych wrażeń!

Inaczej smakuje podróż „Darem Pomorza", a inaczej wielkim transatlantykiem.

Jeszcze inny smak posiada podróż jachtem, małą łupiną, na której kilku zaledwie ludzi mierzy niemal bezpośrednio swe siły z tajemniczą potęgą morza...



Wyprawa z rybakami na połów, na pełne morze, ma swój czar, ma swoją poezję, pisaną przez noc, morze, gwiezdne niebo i podniecioną tą niezwykłą scenerją wyobraźnię.

Ale to są wycieczki krótkie, w czasie których jest się właściwie „kibicem", gdyż rybacy nie pozwolą „panu z miasta" wtrącać się do wielkiego misterjum, jakiem jest ich praca.

Dopiero ci „cywile", którzy mogli odbyć choćby jeden rejs na jachcie, którzy rozkosz podróży okupili ciężką pracą, czujnością i bacznem obserwowaniem oblicza morza — mają prawo nazwać się „wilkami morskimi" i ludźmi, którzy prawdziwe z morzem zawarli przymierze!

Od dość dawna Akademicki Związek Morski szkolił kadry mężczyzn-żeglarzy, którzy na jachtach dalekie odbywali podróże, poznając obce kraje, hartując siły fizyczne i wolę w walce ze „sztormami", rozmiłowując się w morzu i głosząc o jego pięknie tym, którzy jeszcze naszego morza n i e o d k r y l i.

Na lewo: Zanim wyruszy się na dalekie morze, trzeba się wielu rzeczy na brzegu nauczyć...

Ale dopiero od lat sześciu pożyteczny ten Związek uznał, że i kobiety mają równe prawa z mężczyznami do poznawania i — ukochania morza.

W odpowiedniej porze roku co kilka tygodni wyruszały dzielne żeglarki małemi grupkami na wyprawę do dalekich lądów.

Z początku powątpiewano, czy rzekomo słabe i do większych trudów nienawykłe kobiety dadzą sobie radę.

Bo to trzeba nocą czujnie wartować przy sterze, borykać się z żaglami i ciężką kotwicą — i nie można liczyć na niczyją pomoc, nikt ze skwapliwą uprzejmością nie zastąpi „słabej" kobiety, aby nie popsuła sobie pięknych rączek...

Ciąg dalszy na str. 6-tej.

PO REGATACH

Fot. Mgr Leszek Wielożyński — Lwów.


7

Ciąg dalszy ze str. 4-tej

„Panny wodne" są pasażerkami i marynarzami zarazem.

1200 mil morskich jachtem — to nie fraszka. Nawet dla krzepkich ramion męskich niekiedy jest to zadanie nad siły.

Ale dzielne dziewczęta dowiodły, że potrafią dorównać mężczyznom na każdem polu!

W dalekich portach z podziwem oglądano młode „wilczyce morskie", chociaż nietylko w Ameryce, ale i we Francji, Anglji, Niemczech, a zwłaszcza w krajach skandynawskich kobiety znacznie dawniej, niż Polki, wyruszały na morze. Nasze żeglarki budziły jednak podziw postawą, energją i doskonałym humorem, mimo przebytych trudów.

— Nie znać na nich ani śladu zmęczenia — mówili z uznaniem i nie bez zdziwienia prawdziwi „ludzie morza".

Kobiet, uprawiających „królewski sport" żeglarski, jest coraz więcej. Powiększa się również ilość jachtów. „Grażyna", jacht harcerek morskich, znany jest dobrze w licznych portach skandynawskich, dokąd w ciągu czterech lat włóczęgi zawijał.

Przed kilku dniami powrócił do Gdyni po przeszło dwutygodniowej podróży do Szwecji i Finlandji jacht „Krzysztof Arciszewski" — ten sam, który zbyt pochopna plotka prasowa „utopiła" w roku zeszłym...

Załogę „Krzysztofa Arciszewskiego" stanowiło 7 studentek wyższych uczelni lwowskich, — członkiń Akad. Zw. Morskiego.

Jacht odwiedził porty w Visby, Marienhamm na wyspach Aalandzkich, Sundshamn, Kalosvik, Sztokholm i Nynäshamn.

Trasa rzeczywiście wspaniała, widoki, jak z baśni! Sztokholm, „Wenecja Północy", „Królowa Melaru" — jak go nazywają doprawdy bez zbytecznej przesady — napewno dał „pannom wodnym" wrażenia, których nigdy nie zapomną.

Podróż bowiem lekkim, niezbyt szybko sunącym po falach jachtem, wzdłuż tysięcy „szkerów" — uroczych skalistych, a tonących w gorącej zieleni wysepek, jest zdarzeniem, którego się nie zapomina.

Dowódcą „Krzysztofa Arciszewskiego" był w tej podróży p. Andrzej Majewski.



Przygotowania do stawiania żagli.

Wszystkie zdjęcia: Mgr Leszek Wieleżyński, Lwów.

„Panny wodne" opowiadają o swojej podróży z entuzjazmem.

Chwalą przysłowiową gościnność Skandynawów i radują się, że przeżyły — prawdziwy sztorm!

W ostatnich dniach panowały bowiem na Bałtyku silne sztormy, które nawet zmusiły dzielne żeglarki do zrezygnowania z wizyty w Bornholmie i zatrzymania się w porcie Nynäshamn, skąd jacht przybył bezpośrednio do Polski.

„Panny wodne" czeka zasłużony odpoczynek — ale jacht, na którym odbyły swoją cudowną podróż, nie zazna jeszcze odpoczynku.

Po przyjęciu nowej załogi, wyrusza w nowy, kilkutygodniowy rejs po Bałtyku, pod komendą kpt. Mięsowicza.

Ale ten rejs będzie już ostatnią w tym roku podróżą „Krzysztofa Arciszewskiego" do obcych portów.

I znów w roku przyszłym, gdy tylko nadarzy się sposobna pora do włóczęg morskich, wyruszą znów lekkie, smukłe jachty, na których nie brodaci, klnący co drugie słowo i ginem krzepiący siły wilcy morscy, lecz zgrabne, młode, opalone i wesołe, wykwintną porozumiewające się mową i stroniące od kieliszka — popłyną „wodne panny".

Znów otoczy je bezmiar wód morskich, otoczą odmęty, kryjące groźne i wielkiej czujności oraz sił męskich wymagające niespodzianki...

Znów zasypiać będą pod szafirowym, utkanym gwiazdami namiotem nieba. I tylko te, którym przypadnie w udziale czuwanie przy sterze — pełne wrażeń i tajemniczego sam-na-sam z morzem, będą słuchać zagadkowych opowieści, które nocą szemrze morze osamotnionym podróżnikom.

Dzielne są „panny wodne", które gorącem sercem pokochały morze. Ich przykład zachęci napewno nietylko rówieśniczki odważnych żeglarek, lecz także zawstydzi niemrawych „panów stworzenia", którzy w obcisłych marynareczkach zajęcze kryją serca i wolą patrzeć na morze z mocnego, solidnie zbudowanego mola, niż narażać życie „w walce z żywiołem"...

Takich ogarnia nawet lęk, gdy wsiadają na poczciwy, ciągnący smugi czarnego dymu statek, aby odbyć „podróż" z Gdyni do Jastarni...

Gdy jednak ujrzą siedem szczęśliwych, opalonych, roześmianych, uzdrowionych ze wszystkich smutków „panien morskich"

Dokończenie na str. 7-mej.

Poniżej: „Krzysztof Arciszewski" na wodach Norwegji.



Dokończenie ze str. 6-tej.

wracających „do domu" — napewno zawstydzą się bardzo i obiecają sami sobie solenną poprawę.

„Pany morskie" dobrze się więc zasłużyły w dziele doprowadzenia do trwałego przymierza — między nami i morzem.

Coraz bardziej oswajamy się z wodą, jako środkiem lokomocji. Zanim zdobyliśmy się na odwagę i wyruszyliśmy na morze, najpierw popróbowaliśmy swych sił na wodach rzek i jezior.

Od wątłych, zwinnych kajaków, do żaglówek i wreszcie do „wielkich" jachtów — droga niedaleka.

Kto nie ma odwagi, aby zmierzyć swe siły z bezkresnem, pełnem niebezpieczeństw morzem, uwija się w małym kajaku po Popradzie lub Dunajcu, albo wyrusza na spokojniejsze wody naszych północnych jezior.

Kto wie jednak, czy takie podróże nie są niekiedy nawet niebezpieczniejsze, niż pełna emocji podróż jachtem?

Na morzu jest dość miejsca dla wszystkich, a podróż jachtem ma tyle więcej czaru i poezji! Tak przynajmniej twierdzą nasi młodzi żeglarze, a zwłaszcza — subtelniejsze i bardziej skłonne do zachwytów „panny wodne"...

B.

WOJSKO

STANISŁAWA AUGUSTA



Od lewej: Szeregowiec pułku piechoty Czapskiego, — Generał-major wojsk Stanisława Augusta.

Na lewo: żołnierz Korpusu Janczarów.



Leży przedemną mały tomik, oprawny w pergamin, z czerwono barwionemi brzegami i prostym grzbietem — tomik o typowym wyglądzie książki z XVIII-go wieku. Jeden z tych, które widziałem w Paryżu, preparowane przez fabrykantów fałszywych bibljotek, którzy obcinając grzbiety, naklejali je na drzwi szaf, stawianych później w mieszkaniach nuworiszów.

Na tytułowej stronie, na tak miłym, miękim papierze starej książki czytałem słowa, wytłoczone szlachetną czcionką, zbronzowiałą ze starości: Ráspe. Etat Actuel de l'Armée de Sa Majeste le Roy de Pologne, Nünberg 1781. To minjaturowy wspaniały album Wojska Polskiego z czasu króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Broń, barwa, mundur, sztandary — to świetne atrybuty żołnierza, które zawsze będą pociągać oczy ludzkie i będą znajdować entuzjastów, poświęcających się skomplikowanej sztuce mundurologji niezależnie czy chodzi o poważnego historyka, czy tylko manjaka, zbierającego guziki rozmaitych armij. W zachodnich krajach są ludzie, kompletujący całe wojska ołowianych żołnierzy, znawcy wszystkich niuansów kraju, munduru, kształtu czapki, obyczaji wojskowych. Istnieją olbrzymie wydawnictwa niemieckie, traktujące z drobiazgowością te sprawy. We Francji mamy czasopismo „Sabretage" o ekskluzywnej ilości prenumeratorów, pismo poświęcone mundurom i innym rekwizytom stroju wojskowego. Wszystkie kraje pilnie respektują swe narodowe uniformy. U nas wzruszamy się na widok gwardyjskich kit na czakach Podchorążych,

zmieniających wartę każdego 29-go Listopada. Niemcy entuzjazmują się na widok kołpaka „Huzarów Śmierci", ozdobionego trupią czaszką generała Mackensena, — Francuzi na widok barwnych Spahisów Marokka, — ba! nawet Amerykanie mają Kadetów z West Point, — nawet Rosja sowiecka przywróciła Kozakom ich czekmany i patrony.

Genezą munduru wojskowego jest bardzo skomplikowaną. Często jego historja posiada momenty makabryczne, jak to naprzykład ma miejsce z pięknym kołnierzem marynarza. W XVIII wieku, kiedy służba w marynarce zaliczona była do bardzo ciężkich zajęć żołnierskich, kiedy dla skompletowania załóg uciekano się nawet do porywania ludzi, pewnego kontyngentu dostarczyły flocie angielskiej właściwie place kaźni. Skazany na śmierć, na placu, dokąd przyprowadzano go w płóciennym kapturze skazańca na głowie, wysłuchiwał wyroku, poczem zamieniano mu go na służbę w marynarce i rozcinano ów wór, a odrzucony w tył kaptur pozostał częścią stroju marynarza.

Również ponury jest początek świetnej ozdoby, jaką są sznury adjutanckie. Otóż datują się one z czasów wypraw księcia Alby w Niderlandy, kiedy to tamtejsi powstańcy na znak pogardy śmierci nosili na szyjach gotowe stryczki.

Dzielny pułk szwoleżerów gwardji Krasińskiego, w odróżnieniu od 2-go pułku szwoleżerów gwardji, złożonego z Holendrów (nosili oni w przeciwieństwie od Polaków, czerwone mundury i granatowe rabaty) początkowo uzbrojony był tylko w szable i karabinki. W bitwie pod Wagram Polacy powyrywali ułanom Schwarzenberga lance i przez jakiś czas nawet jeździli z proporczykami żółto-czarnemi. Tutaj przekonywujemy się, że strój wojskowy może być nawet w sposób chwalebny wzięty od wroga. Formacje ułanów huzarów są poprostu umiędzynarodowione. Tennyson w swym pięknym poemacie o „Szarży lekkiej brygady pod Bałakławą" będzie opiewał ich wszystkich.

Armja Stanisława Augusta w relacji Raspego jest w swoim zewnętrznym wyglądzie podobna do armij innych państw Europy. Gwardziści nosili wysokie kołpaki, dragoni trójgraniaste kapelusze i oberwesty tak, jak generałowie byli posłuszni klasycznym zasadom prowadzenia wojen. Wojny XVIII-go wieku przypominają grę w szachy. „Dobrze wychowany" partner zaszachowany wojskami przeciwnika, dostawał według klasycznych reguł mata bez zbyt nich protestów i dopiero Napoleon swemi urągającemi tym ustalonym zasadom pociągnięciami wprowadził nowe czynniki strategiczne. Z kolei on sam będzie zaskoczony nieprzewidzianą taktyką Eurazjatów: Suworowa i Kutuzowa.

Raspe w swej książce, opisującej wojsko Stanisława Augusta, posługuje się tekstem niemieckim i francuskim. Mamy tu także wiele określeń w zniekształconej jednak polszczyźnie, kiedy usiłuje podać nazwy szeregowca lub towarzysza. Tekst Raspego jest właściwie objaśnieniem do albumu rytowanych postaci wojskowych. Sztychy posiadają charakter współczesnej mu sztuki ilustratorskiej i są ręcznie kolorowane i złocone. Przeglądamy kartkę za kartką i przesuwa się przed nami rewja armij przed utratą niepodległości. Pułki gwardji, piechoty, artylerji, kawalerji narodowej, korpus Janczarów, Węgrów, towarzysze, pocztowi, generałowie, adjutanci królewscy, szeregowi.

Raspe jest w swych informacjach bardzo skrupulatny. Podaje pełne nazwy formacyj, miejsce ich stacjonowania, skład korpusu oficerskiego, podaje, ilu pułk miał majorów, poruczników, lekarzy, chirurgów. Nie zapomni nawet o nieodzownym profosie i egzekutorze. Tomik, który został mi uprzejmie udzielony przez kustosza Muzeum Sobieskiego p. Andrzeja Bruchnalskiego, ma ciekawe notatki, poczynione atramentem na marginesie, notatki współczesnego znawcy wojska polskiego, czyniące z tej książki rzadki okaz, poprostu unikat. Starem, pięknem pismem wypisane są uwagi, czyjego szefostwa był dany pułk, nazwiska oficerów i dowódców. Dowiadujemy się z tego, że korpusy oficerów pułków piechoty składały się w zasadzie z obcokrajowców, przeważnie Niemców.

Trzeba przyznać, iż armja polska prezentowała się wówczas świetnie, nic nie ustępując wyglądem wojskom państw zachodnich. Coprawda pułki artylerji nie wszystkie miały działa, ale piechota uzbrojona była w „gwery" polskiego wyrobu, fabryki w Bielsku. O ambicjach Stanisława Augusta postawienia na pewnym poziomie swego wojska, świadczy fakt założenia przez niego słynnej Szkoły Rycerskiej, której wychowankiem był choćby Kościuszko.

A armja? Służyła do parad, wart, manewrów, jak te, które znamy z obrazu w Muzeum Wojska w Warszawie, manewrów pod Królikarnią, z karuzeli i zabaw słabego króla. O nim to dowcipniś z ludu ułożył piosenkę, kiedy urządzano uroczystości ku czci Jana III-go:

Dwa tysiące karuzel, jabym dwakroć łożył
By Stanisław był w grobie, a Jan III-ci ożył...

Kulturalny król sam śmiał się z tego dowcipu, kiedy usłużni dworacy o nim mu donieśli, ale doznał zapewne goryczy.

Armja królewska miała wyjść w pole pod Połonne i Dubienkę — miała przygotować ludzi do pożogi powstań o Niepodległość — ale nie było jej dąnem ratować honor cyfry królewskiej Stanisława Augusta.

Zygmunt Haupt.

„IL GIUOCO DEL PONTE" W MIEŚCIE KRZYWEJ WIEŻY



„Il giuoco del ponte", igrzyska na Ponte Vecchio w Pizie, w rocznicę walk dwóch dzielnic tego miasta.

Rankiem w ciasne uliczki pizańskie wpada przenikliwe wołanie przekupniów, turkot wózków ciągnionych przez muły lub małe osiołki, potem trzaskają zielone wachlarze okienne i z za nich wychylają się głowy jeszcze zaspanych gospodyń.

Przekupie zachwalają towar, spiętrzony na wózkach — głównie „frutta di mare": ostrygi, żaby, niezwykła mnogość i różnorodność galaretowatych „calamai", kolczastych „riccio di mare", drobniutkich, jak pestki dyni, muszelek — przyczem sprzedaż odbywa się sposobem nader uproszczonym i wygodnym: z okien sfruwają ku wózkom małe koszyki, „cestini", wypełniane w „miejscu przeznaczenia" żądanym towarem. Wówczas wzlatują ku górze jak pękate ptaki, przemyślnie wymijając po drodze zapory z wydętej na wietrze bielizny, rozpiętej we wszystkich kierunkach: wzdłuż i wpoprzek ulic — białe, falujące „mosty westchnień".

Wrzawa targów przelewa się po zaułkach, koszyki uwijają się gorączkowo — aż w miarę, jak słońce „winduje" się na nieskazitelnie błękitną kopułę nieba, spiętrzona fala zgiełku opada.

Latem nurt dnia we wszystkich miastach włoskich płynie jednako: rankiem raźny, wartki, — w południe zamiera zupełnie. Wówczas dzień ciasno przywiera do ścian kamienic, a odsłonięta, zdana na pastwę żaru ulica ciężko dyszy. Tylko gdzieniegdzie kawiarniane markizy, jak barwne motyle, rozpinają oazę cienia. Wówczas zielone wachlarze okiennic opadają jak zmęczone powieki, zamykając słońcu drogę do mieszkań, w których zmożeni upałem ludzie snem odgradzają się od świata.

Ku wieczorowi żar słabnie — na ulice wylega gęsta fala ludzka, obsiada parki, skwery, do późnej nocy pławiąc się w rozkoszy chłodu.

Każdy z Czytelników wie, że w Pizie znajduje się słynna Krzywa Wieża, budząca zrozumiały podziw swem położeniem, które zdaje się wróżyć jej rychły koniec. Nie wszystkim jednak znane są bliższe szczegóły, związane z początkami tego zabytku, oraz historja „kalectwa", które stało się przyczyną rozgłosu.

Ostatnimi czasy coraz częściej na szarej powierzchni wieży ukazują się długie rany pęknięć, a drobiazgowe pomiary mówią, że kąt nachylenia „torre pendente" staje się coraz mniejszy. Z gorączkowym pośpiechem wzmacnia się fundamenty, zabliźnia pęknięcia — trzeba bowiem wiedzieć, że conajmniej czwarta część mieszkańców straciłaby możność egzystencji z chwilą katastrofy.

A początek krzywej wieży...? — dawne to czasy, czasy największego rozkwitu, złoty wiek dumnej republiki pizańskiej.

Był okres, gdy Piza, bogata w okręty wojenne, kwitnąca handlem, rozpostarła swe władztwo na lądach dalekich i morzach. Do portu pizańskiego, największego wówczas w Etrurji, zawijały okręty ze wszystkich stron świata, — stąd też wyruszały galery potężnej republiki, by znak orła, godło narodu, zatknąć na ziemiach ujarzmionych. Flota pizańska podbiła Tunis, krnąbrną Utykę, Neapol, Brindisi, Sardynję, skąd pierzchnąć musiały saraceńskie zastępy, Kartaginę, na której tron wprowadziła potem króla chrześcijańskiego. Galery „protektorki królów" i „wiernej obrończyni papiestwa", — jak nazywa Pizę św. Bernard, — zapuszczały się na wyspy Dodekanezu, do Hiszpanji, Afryki, gdzie zdobyły bogate kolonje i do hołdu zmusiły pysznych książąt i królów. Pod panowanie republiki dostały się wyspy na morzu Tyreńskiem, do niej należała znaczna część Sycylji, Baleary, jej konsulowie zasiadali w Wenecji i we wszystkich portach Adrjatyku, w Hiszpanji i na Cyprze.

Wtedy prawdopodobnie miasto, rozciągające się obecnie po dwóch stronach Arna, zajmowało prawy jego brzeg. Z wszelką natomiast pewnością stwierdzić można, że Piza starożytna wznosiła się jedynie na prawym brzegu rzeki. Wiadomo bowiem, że Duomo (katedra) wyrasta na miejscu dawnego pałacu Hadrjana, kościół świętego Mikołaja na ruinach świątyni Cerery, kościół św. Michała był za czasów rzymskich świątynią Marsa, w pobliżu zaś bramy miasta na drodze prowadzącej do Lukki do dnia dzisiejszego podziwiać można wspaniałe termy starożytne, znane ogólnie pod nazwą „łaźni Nerona".

Jeden z największych historyków Pizy, Vasari, przekazuje nam dokładne dane w związku z „narodzinami" Krzywej Wieży. Działo się to w r. 1173, gdy „przez Wilhelma, narodowości (jak sądzę) niemieckiej, oraz Bonanno Pisano, rzeźbiarza" — pisze Vasari — została zapoczątkowana budowa wieży na placu katedralnym, w pobliżu murów miasta. Ostatnie badania zmierzają do wykazania, że ów Guglielmo był rodowitym pizańczykiem. Niewiadomo jednak, ile w tej wersji prawdy.

Niezbyt raźno szło dzieło. Pewnego dnia, gdy budowla wznosiła się do trzeciego piętra, miękki w tem miejscu grunt zapadł się niespodziewanie. Budowę natychmiast przerwano. W tym stanie konstrukcja przetrwała do r. 1233, kiedy to budowniczy katedry, Renato, postanowił, po wzmocnieniu fundamentów, kontynuować dzieło. Potem kilkakrotnie pracę przerywano, aż wreszcie w połowie XIV. w., dzięki inicjatywie jednego z najsławniejszych artystów, jacy działali w Pizie (a bywał tu kilkakrotnie Michał Anioł, Donatello i in.), Tomasza z Pizy, którego dziełem jest m. in. uniwersytet pizański, jeden z najstarszych we Włoszech, budowa została ukończona. Sławę „torre pendente", jej rozgłos pomnożyły studja Galileusza, który tutaj czynił doświadczenia w związku ze spadaniem ciał. Informuje o tem wyczerpująco tablica, wmurowana wewnątrz wieży, na lewo od wejścia.

Jak już zaznaczyliśmy, stara, najbogatsza w zabytki Piza rozciąga się na prawym brzegu rzeki. Po lewej stronie Arna mieszczą się nowsze budowle. Tę część przecina pizańskie corso — via Vittorio Emanuele, biegnące od rzeki do nowoczesnej stacji kolejowej rozbudowanej z wielkomiejskim rozmachem.

I niewiadomo, czy starszeństwo prawej strony grodu napawało jej mieszkańców taką dumą, że z lekceważeniem spoglądali na „lewobrzeżny motłoch", czy też przyczyną pogardy była obcość „tłumu", będącego elementem napływowym — dość, że między obu stronami panował w średniowieczu ostry antagonizm, który nieraz znajdował ujście w krwawych walkach, mających za teren głównie most, łączący oba brzegi — Ponte Vecchio, zwany też Ponte di Mezzo. Prawdopodobnie wina leżała po stronie bogatej, pełnej wspaniałych, możnych zamków Tramontany (do dziś zachowana wśród ludu nazwa prawego brzegu, dosłownie: zachód), która, znajdując się bliżej portu, mając dostęp do możnych miasta, nie dopuszczała ubogiego Mezzogiorna (nazwa strony przeciwnej: południe) do udziału w handlu, skupiającym się głównie po jej stronie, wystawiając niejednokrotnie straże na moście. Aż pewnego czerwcowego dnia doszło



Katedra pizańska — w głębi słynna Krzywa Wieża.

do formalnej bitwy, w czasie której obie strony, doskonale uzbrojone, pod wodzą swoich magnatów, walczyły z niezwykłą zaciętością, starając się za wszelką cenę przeforsować Ponte di Mezzo. Po długich zmaganiach zwycięstwo przypadło w udziale prawobrzeżnym, lepiej wyekwipowanym zastępom.

Minęły lata. A gdy wzajemna nienawiść ustąpiła miejsca nienawiści do wspólnego wroga, Florencji, która zagarnęła miasto, pogodzone strony postanowiły rocznicę bitwy święcić igrzyskami, nazwanemi *„il giuoco del ponte"*.

Ale niechęć tliła. Zdarzało się niejednokrotnie, że „pokojowe" igrzyska pociągały za sobą ofiary, tak zacięte boje staczano. Taki stan rzeczy spowodował na początku XIX. w. zaniechanie uroczystości. Italja faszystowska, świadoma znaczenia tradycji w życiu społecznem, zdając sobie równocześnie sprawę z siły atrakcyjnej widowisk, opartych na motywach historycznych, wskrzesiła „giuoco del ponte".

Zbliża się dzień sławnych igrzysk, którym w całej Toskanji... ba! w Italji całej równych nie spotkać, nadchodzi godzina bohaterskich zmagań Tramontany z Mezzogiornem! Biada mieszkańcowi jednej strony, któryby w tym okresie wszedłszy w „królestwo" przeciwnika, niebacznie ubliżył mu, wyrażając się lekceważąco o jego sile, czy też podając w wątpliwość jego szanse zwycięstwa. Natychmiast otoczy go gawiedź i wśród naigrawań, złorzeczeń i drwin aż poza Ponte Vecchio przegoni.

Oto już powiewają z okien i balkonów sztandary znamienitych rodów Mezzogiorna, oto na murach pojawiły się manifesty, nawołujące do stawienia czoła nędznym wojskom Tramontany, która zresztą, bezwątpienia, na sam widok „naszych wspaniałych hufców' pierzchnie w popłochu. — „Oto już łopocą na wietrze nasze dumne chorągwie, a szczęk oręża trwogą przejmuje wraże zastępy" — takiemi słowy rozpoczyna się manifest. Zwyciężymy! Już i mnie ogarnia gorączka wojny, i ja w podnieceniu czekam na emocję następnego dnia. Ulicami krąży ciżba ludzka, śledząc wśród żywych sporów i dyskusji przygotowania, poprzedzające „dzień krwi i chwały". Po obu stronach mostu ustawiono wzorzyste namioty wodzów, przed którymi już trzyma straż rycerstwo. Kamienice, biegnące wzdłuż Arna (Lung'Arno — centrum Pizy) pokrywa się koronką żarówek, które jutro rozbłysną miljonem świateł, tworząc bajeczne efekty. Przygotowania trwają całą noc, by miasto wystąpiło jaknajgodniej przed gośćmi, którzy zjadą tu z całego świata.



Kościół San Pierino i wgłębi kolumna Pierino da Vinci.



Na prawo: Widok na Lung'Arno, ze starożytną cytadelą na pierwszym planie.

A kiedy nadszedł dzień rozgrywki, skąpana w słońcu Piza wróciła w pyszną przeszłość, pełną barwnych strojów i majestatycznego splendoru sztandarami zasnutych pałaców. Ulice zatętniły barwnym tłumem mieszczan, żaków i rycerstwa, pokryły się wysepkami kramów, w których wszelkiego rodzaju przysmaki kupić można: więc ostryg różnorodność, słodyczy moc nieprzebrana od zwykłych, w pstre kolory malowanych cukierków, do wyśmienitego „torrone" (nugat) z miodem i owocami, kiełbasę rodzynkami nadziewaną, a przedewszystkiem kwasów owocowych obfitość, by żar upalnego dnia znośniejszym uczynić.

Zaroiły się brzegi rzeki... Dzwony obwieściły, że moment, na który czekano, nadchodzi. Po rzece płyną średniowieczne gondole, w których przewoźnicy barwnymi strojami się puszą, majestatycznie w pobliżu Ponte di Mezzo krążąc. Na brzegach gwar wzbiera: wojska Tramontany i Mezzogiorna szykują się do przeglądu, poprzedzającego bitwę. Już przed trzema magnatami, potomkami wodzów z czasu pamiętnej walki defiluje z chrzęstem i tętentem kawalerja, za nią piechoty mrowie. A nad oddziałami ptactwo sztandarów łopoce, nadzieją krzepiąc serca Mezzogiorna. Ludność głośną wrzawą i niemilknącem „evviva" wita swoją drużynę.

Przegląd skończony. Przed oddziały wojska występuje czterech heroldów i surmy rozbrzmiewają metalicznem wezwaniem. Zapada głęboka cisza. Serca uderzają mocniej. Pod błękit nieba wzlatują ostatnie dźwięki pobudki. Teraz do boju, do zaciętych zapasów! Już na most z dwóch stron wstępuje rycerstwo, już włócznie poziomo, zaczepnie czekają na pierwsze zetknięcie... — A teraz szczęk oręża, o pancerze.... Na moście skłębił się wir. Początkowo trudno wróżyć, kto zwycięży. Wreszcie radosny okrzyk dobywa się z piersi mieszkańców Mezzogiorna... Tramontana zamiera w zgrozie: jej oddziały łamią się, pierzchają, a w rękach rycerzy Mezzogiorna powiewa zdobyty sztandar. To już klęska Tramontany. — Prawobrzeżnych opanował popłoch, więc ratują się ucieczką lub w przerażeniu rzucają oręż i proszą o łaskę.

Po bitwie zwycięzcy wracają do swoich pieleszy. Ich wódz dosiada rumaka i przyj-

Dokończenie na str. 14-tej.

Preparat doktora Konstantego

JERZY JESZKE **NOWELA**

Trzy lata. Najwyżej jeszcze trzy lata życia. Konstanty zbyt dobrze znał swój organizm. Śledził bardzo skrupulatnie przebiegające w nim reakcje i procesy i nie miał co do tego żadnych złudzeń. Wynalazł nawet dla siebie formułkę biochemiczną.

A więc trzy, zgórą trzy lata.

Przez trzy, dokładnie trzy lata, nie ruszał się Konstanty ze swojej pracowni. Nie pomogły żadne nalegania i perswazje. A przecież nie można było przypuszczać, że czyni to jedynie z powodu rażącej ułomności, jaką miał od dzieciństwa. Jego wielki garb przy małym wzroście bywał często przyczyną ukrytych drwin i uwag. Zdolności jednak i głęboka wiedza Konstantego wzbudzały powszechny podziw i szacunek. Mówiono często z przekąsem, że w tym wielkim garbie tkwi cały jego rozum. W gimnazjum przezwali go Wielkim Garbusem. Garbusem Wielkim pozostał również na studjach chemicznych. Znany był też ogólnie jako tęga głowa przy kieliszku i nikt nie był w stanie dorównać mu w kompanji.

Początkowo widzieć można było młodego dr. Konstantego, przesiadującego w najbardziej znanych i popularnych lokalach. Liczne grono młodych uczonych i wielbicieli towarzyszyło mu zwykle w tych „posiedzeniach". Aż przyszedł moment i dr. Konstanty przestał się udzielać publicznie. Przebąkiwano, że to skutki nieszczęśliwej miłości, że genjalny Konstanty oświadczył się kiedyś nieostrożnie i został z racji swego wielkiego garbu i szpetoty odtrącony i z lekka wyśmiany.

Wczesne prace Konstantego w dziedzinie chemji stały się jednak wkrótce rewelacją naukową. Garbus Wielki znany był w świecie nauki nietylc z powodu swej ułomności, ile z racji swych doniosłych odkryć. Garbus Wielki był to raczej zaszczytny przydomek Konstantego, 27-letniej sławy chemicznej.

Po okresie głośnych publikacyj, nastąpiła długa i niepokojąca cisza. Mówiono, że Garbus zaszył się w „laborce" i całemi dniami „smaży", inni twierdzili, że się poprostu skończył. Rzadko, bo zaledwie raz na dwa tygodnie, zajeżdżał autem przed pracownię Konstantego jego przyjaciel Henryk. Wtedy widzieć było można zaszytą w kącie limuzyny, nikłą postać Garbusa. Te „porwania" zdarzały się coraz rzadziej od chwili, kiedy Henryk poślubił znaną z urody panią Ewę, córkę bogatego fabrykanta. Złośliwi mówili, że wprawdzie Konstanty szybko zdobył sławę uczonego, ale jego przyjaciel Henryk, również chemik, wynalazł lepszą formułkę i znacznie szybciej zrobił zawrotną karjerę... matrymonjalną.

A Henryk, nie wiadomo, czy przez snobizm, czy też chęć zaznaczenia, że powodzenie życiowe bynajmniej nie zawróciło mu w głowie, odwiedzał nadal swego zasuszonego przyjaciela. I stało się, że Konstanty został porwany na oficjalną wizytę i przedstawiony wraz ze swym garbem wielkim, pięknej i subtelnej pani Ewie. Było to ciężką udręką dla Konstantego. Od tej chwili nie opuszczał on swojej pracowni, tłumacząc się złym stanem zdrowia i brakiem czasu. Wierny jednak swym zasadom Henryk, odwiedzał go co pewien czas, poświęcając mu kilka minut ze swego cennego czasu.

Wielkie też było zdziwienie i zakłopotanie Konstantego, kiedy w drzwiach jego pracowni zjawiła się dnia któregoś pani Ewa.

— Przyjechałam dzisiaj w zastępstwie Henryka, — mówiła wesoło, podając dłoń Konstantemu.

— A co się z nim dzieje? — zapytał mimowoli zaskoczony tą niezwykłą wizytą chemik.

— Ach, Henryk! — mówiła szybko pani Ewa. — Henryk jest od pewnego czasu nieuchwytny. Stale w jakichś rozjazdach. A pan, jak widzę, zawsze na jednem miejscu (Jakiż on karykaturalnie brzydki — pomyślała w tej chwili. (Szczyt deformacji).

Małe, świdrujące oczka garbusa, przenikliwe aż do szpiku kości, spotkały się z oczyma kobiety, jasnemi i przejrzystemi.

Pani Ewa mimo umiejętności panowania nad sobą, poczuła się dziwnie zmieszana. Ten człowiek odkrył zapewne, co o nim przed chwilą myślała. Był to moment. — Uczucie wstydu podobne przy obnażaniu się.

— Przywykłem już do siedzenia ze zwykłej, naturalnej konieczności — mówił powoli Konstanty. — A przyznać muszę, że jest mi z tem zupełnie dobrze.

Pani Ewa wiedziała, że teraz właśnie coś trzeba powiedzieć, rzucić jakieś olśniewające zdanie, że trzeba wprowadzić nastrój czegoś subtelnego, a jednocześnie zniewalającego. Trzeba koniecznie wprowadzić w zakłopotanie tego niepozornego człowieczka, onieśmielić go i rozbroić.

— Mam wiele podziwu dla pańskiej pracy — zaczęła spokojnie. — Henryk wiele mi opowiadał o panu i dlatego chciałabym podobnie jak on, zyskać pana przyjaźń. Proszę mnie nie rozumieć, że przemawia przeze mnie w tej chwili litość czy współczucie. Widzę, a raczej odczuwam w panu pewne wartości, siłę, która promieniuje. Wiem, że podjął się pan mimo słabego zdrowia jakiegoś ogromnego wysiłku i że do zamierzonego celu dąży pan z uporem i konsekwentnie. Nie wiem, nad czem pan w tej chwili pracuje, ale z rysów twarzy, zaciętych, wykrzywionych jakimś wewnętrznym bólem, wnioskuję, że proces twórczego spalania owładnął już każdą żywą komórkę. Dlatego pragnęłabym, jeżeli to wogóle możliwe, wyrwać pana bodaj na pewien czas z tego kręgu, który się wokół pana zacieśnia coraz silniej. Czy nie wskazane byłoby teraz zastosowanie jakiejś odtrutki, czegoś, co stałoby się bodaj chwilowem odprężeniem? Zastanawiam się np. nad tem, kiedy pan sypia, czy pan przyjmuje posiłki, no i nad szeregiem innych t. zw. życiowych drobiazgów. Zawsze, ilekroć przejeżdżam autem obok pana pracowni, widzę pozapalane światła i czuję, że tam za szybami wre jakaś gorączkowa, wytężona praca, na trzy zmiany, człowieka samotnego i opuszczonego. Wyobrażam sobie, że to coś ponad ludzkie siły, że coś tajemniczego tkwi w tej pogoni za czasem, i że finisz przedstawia się groźnie i niemal tragicznie.

W czasie tej przydługiej oracji pani Ewy, Konstanty siedział nieporuszony i bezbarwny. A kiedy ostatnie słowa kobiety przebrzmiały, głos, którym przemówił Konstanty, był jak poprzednio spokojny i równy.

— Mówi pani o przyjaźni. Bardzo ją cenię. Jedną z cech przyjaźni jest jej bezinteresowność. Dlatego wdzięczny jestem za nią Henrykowi i jednocześnie zdaję sobie sprawę z olbrzymiego długu ciążącego na mnie z tytułu tej właśnie przyjaźni. Nowa przyjaźń, to nowe długi.

— A przecież według pana, cechą przyjaźni jest bezinteresowność, a gdzie jest bezinteresowność, nie istnieje obawa długu. A jeśli chodzi już o kwestję długu, to spłaca go pan codziennie swoją pracą.

— Ach, praca, praca! — mówił uśmiechając się Konstanty. — Przecież pracować musimy. Praca, to raczej samozadowolenie, pewna forma egoizmu. To bardzo podnieca i sprawia, że nie odczuwamy dręczącej świadomości sennego przemijania.

— Ależ praca twórcza jest chyba szczytem wszelkiej udręki!

— Tak — kończył Konstanty — jeśli sięga poza granice naszych możliwości, poza granice przyrodzonych zdolności, poza intelekt, słowem poza własne ramy.

Pani Ewa czuła już wyraźnie, że nie znajduje żadnego argumentu. Zręcznym manewrem skierowała rozmowę na tematy łatwiejsze i potrafiła na uwiędłej twarzy Konstantego wywołać kilka przelotnych uśmiechów. Po półgodzinnej rozmowie pożegnała się z nim serdecznie uściskiem dłoni i siedząc w aucie przy kierownicy, długo myślała o tym małym zgarbionym człowieczku, który mimo swej odpychającej brzydoty, stał się nagle dziwnie bliskim i znajomym.

Minęło znów kilka tygodni, w czasie których Konstanty pozostawał sam w ścianach swojej pracowni. Odprawił nawet służącego, który przynosił mu jedzenie i zajmował się sprzątaniem mieszkania. Na jedzenie i spanie nie było poprostu czasu. Wizyta Ewy pozostawiła na jego twarzy ślady jakichś gorączkowych rumieńców. Jej obecność w ścianach pracowni, zapach jej perfum, echo słów, każdy gest i spojrzenie, pozostały dotąd żywe i niezatarte. Czuł jeszcze dotknięcie jej dłoni przy pożegnaniu, ciepło jedwabnego naskórka w momencie zwarcia rąk. W związku z tem, przypomniało mu się znane w medycynie starożytnej powiedzenie: febris modica idearum fecunditatem et eloquium dat. A zatem był to stan umiarkowanej gorączki, która sprowadza płodność myśli... Konstanty zastanawiał się nad tym niewytłumaczonym procesem chemicznym, który w nim zaszedł tak nagle, nad tą przedziwną transplantacją energji, wywołującej przyspieszony rytm serca i zwiększone ciśnienie krwi. Czuł, że odbywające się w nim reakcje następują w przyspieszonem tempie, że wkroczyły tu jakieś prawa, nie objęte formułą chemicznego wzoru. Próbował przeprowadzić szczegółową analizę przebiegu tego zjawiska, aby w rezultacie otrzymać coś, coby nazwać można „uściskiem syntetycznym". — Konstanty stwierdził przytem, że wstrzykiwanie podskórne sztucznego serum nie rozwiązuje problemu. Działanie roztworu soli fizjologicznej podnosi tylko ciśnienie krwi i zmienia jej koncentrację. A tu wszak chodziło o coś zupełnie innego.

Konstanty wiedział również dokładnie, że proces spalania się własnego organizmu następuje nieuchronnie i że trzeba się spieszyć.

Dokończenie na str. 14-tej.

ZAMYŚLONA



Dokończenie ze str. 12.

Kiedy wreszcie odpowiednie serum zostało spreparowane, Konstanty poczynił kilka doświadczeń na sobie i dopiero wówczas odetchnął z uczuciem niewysłowionej ulgi.

Preparat jego został nazwany „serum EHK[10]" od pierwszych liter trzech imion: Ewy, Henryka i Konstantego. Liczba dziesięć wskazywała na dziesięciokrotną siłę działania, którą się uzyskuje przez zastosowanie jednej dawki. Tajemnica „uścisku syntetycznego" została chemicznie odkryta i ujęta w ścisłą formułę. Krótka wizyta pani Ewy w pracowni Konstantego stała się od tej chwili datą w historji naukowych odkryć.

Kiedy po dłuższej nieobecności zjawił się w drzwiach pracowni Henryk, siedzący zazwyczaj nieruchomo Konstanty zeskoczył nagle ze swego zydelka jakimś zwinnym kocim ruchem i balansując w powietrzu swoim wielkim garbem, wyciągał na przywitanie małą, suchą i prawie dziecięcą dłoń.

Tego dnia Konstanty był niezwykle ożywiony.

— To wspaniale, że mnie odwiedziłeś, Henryku. Popatrz! — mówił, wskazując na wielką retortę w białych oparach. — Trzecie doświadczenie skończone. Widzisz ten osad krystaliczny? To już prawie gotowy preparat. Na tej kartce masz skład chemiczny. Cały materjał, dokładny opis przebiegu doświadczenia i wzory znajdziesz w tej zielonej tece. Ale, ale! — mówił podniecając się coraz bardziej, — zapomniałbym o tem, co najważniejsze. Tu jest klucz od mojego mieszkania. Rano... tak, zaraz z rana... rozumiesz, no jutro... przyjdziesz poprostu, otworzysz drzwi tym oto kluczem, a tu na stole wszystko już będzie przygotowane.

Klucz, który Konstanty pospiesznie wsunął przyjacielowi do ręki, przeniknął go nagle przeczuciem nieokreślonego bliżej lęku. Henryk stał dłuższy czas w milczeniu, spoglądając na swego przyjaciela, to znów na klucz i szukał między tym martwym, chłodnym przedmiotem a osobą Konstantego jakiegoś logicznego związku.

— Jak to? Nie rozumiem — zapytał po chwili. — A więc wyjeżdżasz?

— No, tak — mówił Konstanty, unikając wzroku przyjaciela. — Właściwie tak. Jestem, rozumiesz, trochę przepracowany, a zresztą wiesz, dość mam tego siedzenia na jednem miejscu. Przecież to już trzy lata. Ale jestem zadowolony — mówił znów, podniecając się niezwykle. — Nawet nie wiesz Henryku, jak bardzo się cieszę. Tak, wierz mi przyjacielu, tylko praca i jedynie praca daje właśnie takie zadowolenie i szczęście. Dopiero teraz czuję prawdziwą, wielką radość, rozumiesz, radość twórcy. Tak. Ja taki właśnie pokurcz, taka imitacja człowieka, dopiero teraz czuję siłę męską, tę siłę, która mię wyzwala z więzów skarlałego ciała....

Henryk przypatrywał się przyjacielowi z narastającym niepokojem i nie poznawał go. Ten cichy, małomówny, niezwierzający się nigdy ze swoich zamierzeń badacz, wpadł nagle w jakiś trans krasomówczy.

— Jest to praca — mówił teraz jednym tchem Konstanty — z dziedziny fizjologji mózgu i transplantacji energji psychicznej. Wiemy, że im intensywniejszy jest dopływ krwi do mózgu, tem jego odżywianie staje się lepszem, a zatem zwiększa się jego sprawność funkcjonalna. I odwrotnie. Słaby przypływ krwi wpływa na osłabienie aktywności psychicznej. Wiemy również, że w umiarkowanej gorączce około 38.5°, a więc przy wysokiem parciu krwi, następuje znaczne wzmożenie aktywności psychicznej i sprawia, że procesy duchowe stają się żywsze, intensywniejsze i bardziej zróżniczkowane. Serum EHK[10], rozwiązuje jednocześnie, problem przedłużania życia w sensie zwielokrotnionej energji psychicznej. Nie przedłuża ono bynajmniej procesu spalania naszego organizmu, nie jest tak zwaną receptą na długowieczność, ale pozwala nam żyć z pewną szybkością, rozszerza znacznie granice naszych możliwości duchowych. Mówi się popularnie, że człowiek przesypia niemal połowę swego życia. Strata czasu, niezbędna na odpoczynek, była oddawna troską tych wszystkich, dla których każda minuta mierzona jest na wagę złota. Serum EHK[10], pozwala nam na pracę umysłu intensywną, długotrwałą, bez żadnych oznak wyczerpania. Potem następuje bardzo krótki, ale krzepiący sen. Dzięki temu uzyskujemy dziesięciokrotne wzmożenie aktywności psychicznej, czyli przeżywamy normalny rok kalendarzowy z szybkością lat dziesięciu. Inaczej biorąc, żyjemy przeciętnie nie 50, ale 500 lat. Teraz możemy wyobrazić sobie tempo postępu całej ludzkości i wynikające stąd dobrodziejstwa.

Kiedy Henryk pożegnał Konstanego, miotały nim dziwne obawy i przeczucia. A może Konstanty stoi już na granicy obłędu? Może ten genjalny chemik, sięgający tak odważnie po tajemnice bytu, przekroczył prawa wytyczone rozumowi ludzkiemu. Może to wreszcie manjak, albo poprostu chory, wyczerpany nadmiarem pracy, człowiek.

— Zupełnie dobrze robi, że wyjeżdża — pomyślał Henryk. Ale co znaczy ten klucz i całe to jego zachowanie, te rumieńce na twarzy — i dlaczego właśnie jutro kazał mu przyjść do pracowni.

— Nie, tu stanowczo coś jest nie w porządku!

Tej nocy Henryk długo nie mógł zasnąć. Myśl o przyjacielu wracała ciągle i uparcie. Kiedy wreszcie nad ranem zupełnie już znużony usnął, przyśnił mu się jego przyjaciel Konstanty. Leżał on na trawie twarzą do ziemi, a wielki jego garb wznosił się jak góra wysoka i niedostępna. Henryk próbował wspiąć się na jej wierzchołek, ale nadaremnie. Męczył się tylko, a szczyt zawsze pozostawał niedostępny. Wtedy to dłoń Konstantego sucha i koścista, dłoń dziwnie ciepła, rozsiewająca zapach perfum, jakich używała Ewa, ta dłoń wyciągnęła się w jego stronę i pomogła wspiąć się na sam szczyt. A wtedy słońce ogromnie jasne, wielkie słońce zaświeciło nad jego głową.

Kiedy Henryk zbudził się ze snu, w pokoju było wiele słońca, a z ogrodu dolatywał wesoły rozgwar ptactwa.

— Co za sen — pomyślał — ubierając się szybko. — Sypiałem zwykle dobrze i nie miewałem żadnych marzeń.

— Acha! — ten klucz — mam go tu w kieszeni — przypomniał sobie, dotykając martwego przedmiotu.

Trzeba się spieszyć!

Lśniące auto pomknęło szybko w kierunku pracowni, gdzie od lat przebywał Konstanty. Ręce Henryka, spoczywające na kierownicy, drżały lekko i całem jego ciałem wstrząsał od czasu do czasu dreszcz niepokoju.

Przed willą, w której mieściła się pracownia Konstantego, było, jak zwykle, spokojnie i tylko hałasowały wróble. Dopiero teraz zauważył Henryk, że nad oknem pracowni uwiły sobie gniazdo jaskółki. Ich pisk radosny przeszywał od czasu do czasu powietrze.

Henryk odetchnął z uczuciem ulgi.

Długo manewrował kluczem w zamku, zanim ustąpiły drzwi. W pracowni była cisza. Pośrodku przy głównym stole obok retort, probówek i przyrządów do doświadczeń leżał na ziemi Konstanty. Wielki jego garb sterczał wyniośle nad całem ciałem, a ręce jego o wywiniętych do góry dłoniach, podobne były do skrzydeł zestrzelonego ptaka.

Na stole z niezamkniętej koperty wyglądał skrawek zapisanego papieru. Henryk wyjął go z pośpiechem i czytał.

Drogi Henryku!

Przedewszystkiem będziesz rozczarowany. To nie samobójstwo, ale poprostu śmierć, zwykła, najzwyczajniejsza śmierć albo sen (to nawet lepiej brzmi). Wyliczyłem to sobie kiedyś dokładnie, że dłużej nie pociągnę jak trzy lata. Chciałem ten czas wykorzystać jak tylko można. Miałem ambicje naukowe. Chciałem po sobie coś zostawić. Męczyłem się długo. Dopiero przybycie Twojej żony, Pani Ewy dało mi rozwikłanie problemu. Jej to przedewszystkiem zawdzięczam, że umarłem w porę, t. zn. po dokonaniu swego dzieła. A więc Jej i Tobie mam wszystko do zawdzięczenia. Ty byłeś mi przyjacielem, Ona iskrą natchnienia. Zostawiam Wam moją pracę i proszę, zaklinając Cię na naszą przyjaźń, abyś Ją wydał pod swojem nazwiskiem i jako własną. Wiesz, że nie mam absolutnie nikogo z rodziny. Sława potrzebna jest żyjącym. Mnie wystarczy zadowolenie, że przecież nie zmarnowałem czasu.

Wasz przyjaciel Konstanty.

To były ostatnie słowa, skreślone ręką genjalnego chemika.

Dokończenie ze str. 11-ej.

muje z rąk swego rycerstwa zdobyte w walce sztandary. Teraz czas na hołd, który przypieczętuje klęskę Tramontany. Patrzcie: na most wstępuje pokonane wojsko. Przodem kroczą dobosze i w takt żałobnego werbla posuwają się zgnębione szeregi. Na środku mostu czoło pochodu przystaje, — odrywa się od niego jeździec, dążąc ku obozowi zwycięzców. Tam zsiada z konia, a podszedłszy z pokorą do wodza, prosi go, by raczył przyjąć hołd Tramontany. Otrzymawszy przyzwolenie, powraca do swoich. Znów warczy werbel, chorąży pokonanych porusza zwolna żółtym sztandarem, który faluje w rytm pochodu. Na maszt, zatknięty na moście, wypływa chorągiew triumfatorów. Mezzogiorno syci oczy klęską odwiecznego wroga, patrząc, jak wódz pokonanej drużyny korząc się, przyklęka przed wodzem zwycięzców i sztandary do stóp mu ścieląc.

Teraz do późnej nocy odbywają się uroczystości: błyszczą frontony kamienic, wyhaftowane w najkunsztowniejsze wzory rojem żarówek. Nad powierzchnią Arna tryskają race ogni sztucznych i płyną wspaniale przystrojone łodzie, pełne rozbawionej, tańczącej młodzieży. Pomarańczowem światłem ocieka przyklejony do lewego brzegu rzeki misterny kościółek Santa Maria della Spina, — marmurowe arcydzieło, które Amerykanie chcieli kupić za cztery miljony dolarów, by przewieźć je w całości do siebie, — drży roziskrzony pałac Medyceuszów, jedno z najkunsztowniejszych dzieł Odrodzenia w Pizie, wykonane przez braci Nino i Andrea Pisano, — mieni się tysiącem świateł pałac Toscanelli, który w r. 1822 gościł Byrona. Całe Lung'Arno wydłuża się w oślepiającą wstęgę blasku aż hen, ku masywowi starej cytadeli.

Widowisko pozostawia niezatarte wspomnienia. Żaden naród nie dorówna Włochom w umiejętności odtworzenia i uplastycznienia barwnych momentów przeszłości. Italja faszystowska doprowadziła tę sztukę do perfekcji. A stare miasta włoskie, ich dostojne zabytki są dla tego rodzaju widowisk wymarzonem tłem.

Juljusz Manber.

„CZARNA WDOWA"

Czyś widział już „czarną wdowę"? A jak ci się podobała? — oto pytania, któremi mieszkańcy Londynu rozpoczynali swe rozmowy w ostatnich paru tygodniach. Co więcej — „czarna wdowa" znalazła się i na szpaltach dzienników, nie wyłączając poważnego „Timesa", a nawet stała się przedmiotem — rzecz prawie nie do wiary — interpelacji w angielskim parlamencie.

„Czarna wdowa", niezbyt wielki pająk barwy czarnej, został przed kilku tygodniami przywieziony do londyńskiego Zoo. Najgroźniejszy w świecie pająków, bo ukąszenie jego może spowodować śmierć, podobnie, jak ukąszenie jadowitego węża. Z niemałą też ostrożnością musiano obchodzić się z tymi niebezpiecznymi pasażerami w czasie podróży okrętem, starając się uniemożliwić im ucieczkę, a z drugiej strony opiekując się nimi troskliwie, by cało dojechali do celu podróży — Zoo w Londynie.

Anglicy znani są ze swych zamiłowań do zwierząt. Liczne też są w Anglji różnorodne towarzystwa przyrodnicze, nie brak zwierzyńców i ogrodów zoologicznych, z których na pierwsze miejsce wysuwa się Zoo londyńskie, starające się stale o zwiększenie swego inwentarza. Gdy więc rozeszła się wiadomość, że nowym mieszkańcem ma być najjadowitszy pająk świata, zelektryzowała ona wszystkich i tłumnie podążano, by oglądać egzotycznego gościa.

Przyczyną tak tłumnego odwiedzania terrarium, specjalnie zbudowanego dla wykluczenia ucieczki pająków, była także wieść, która się szybko rozniosła, o niezmiernie krwiożerczych instynktach samicy tego pająka. Tak, jak to czynią i samiczki innych gatunków pająków, „czarna wdowa" toleruje sąsiedztwo swego małżonka tylko do czasu. Zakończeniem okresu godowego jest gwałtowna śmierć małżonka, pożeranego przez własną „żonę". To zainteresowało Londyńczyków, którzy formalnie oblegali terrarium, aby być świadkami tak niezwykłego końca miłości pajęczej i to właśnie w pierwszym rzędzie spowodowało interpelację w parlamencie.

Jeden z interpelantów wywodził, że pokazy tak krwiożerczych zwierząt powinny być zamknięte, by u zwiedzających nie wzbudzać niezdrowych instynktów. Ponadto podnoszono możliwość niebezpieczeństwa ucieczki jadowitych pająków, które mogłyby stać się postrachem londyńskich parków i zieleńców, skąd już łatwo przedostałyby się i do ludzkich mieszkań. Gdy ze strony zarządu ogrodu zoologicznego próbowano uspokoić zaniepokojoną część opinji publicznej przez podkreślenie zastosowania specjalnych środków ostrożności i bezpieczeństwa dla uniemożliwienia ucieczki czarnym pająkom, podniesiono sprawę niebezpieczeństwa w razie nieprzyjacielskiego ataku lotniczego. W tym przypadku, gdy bomba lotnicza spadnie na który z objektów ogrodu zoologicznego, ucieczka pająków w powstałem zamieszaniu może zostać łatwo niespostrzeżona a późniejsze ich wytępienie w razie rozmnożenia się na wolności trwałoby całe lata.

Tyle zainteresowania i wrzawy wzbudziły niepozorne, chociaż groźne pająki.

„Czarna wdowa" — „black widow" — (Latrodectus mactans) spokrewniona z naszym pająkiem domowym, zamieszkuje południowe stany Ameryki północnej. W niektórych okolicach nosi ona również nazwę „czarnego pająka". Ponieważ obszary, na których te pająki przebywają, są naogół puste i suche i nie dostarczają im odpowiednich kryjówek i schronienia tłumnie wędrują one do każdego nowobudującego się domu w danej okolicy, ku utrapieniu mieszkańców. Intensywnie prowadzone w ostatnich latach badania nad życiem „czarnej wdowy" wykazały, że zajmuje ona również bardzo chętnie nory, opuszczone przez kolumbijską wiewiórkę (Citelius columbianus). W podziemnych bowiem gniazdach i korytarzach znajduje dla siebie obfite pożywienie, złożone z owadów, a także schronienie na zimę. Podobnie większe ilości tych pająków, jak i ich kokonów odnajdywano w opustoszałych królikarniach, gdzie hodowano króliki dla otrzymania wełny.

Poniżej: Wielki jadowity pająk brazylijski tarantula, którego wielkość można ocenić, porównując obok umieszczoną dłoń chłopca.



Ukąszenie tego pająka uchodzi za niebezpieczne zwłaszcza dla bydła domowego, które często pada ofiarą jego jadowitości. Znane są również wypadki ukąszenia ludzi, często śmiertelne. Notowane ukąszenia człowieka były zadawane przez samice. Dwie maleńkie ranki, jednak dostatecznie wielkie dla wsączenia trującego jadu, zadaje „czarna wdowa" podobnie, jak i inne pająki, szponami szczękoroży. Przez kanaliki, połączone z gruczołem jadowym, spływa trująca ciecz do ranki. Ukąszenie wywołuje ostry ból, podobny do tego, jaki odczuwa się po wbiciu żądła przez pszczołę lub osę. Niedługo po ukąszeniu występują objawy zatrucia organizmu, połączone z gorączką, wystąpieniem zimnego potu, brakiem tchu i uciskiem na serce. Zwykle po dwóch dniach, czasem po dłuższym okresie objawy te ustępują i chory powraca do zdrowia, nieraz jednak stan choroby przedłuża się. Stopień zatrucia organizmu jadem tego pająka zależy od wielu okoliczności. Łatwiej podlega zatruciu organizm słabszy, a więc n. p. dziecko, aniżeli człowiek dorosły, groźniejsze są następstwa ukąszenia, gdy nastąpiło ono w dzień upalny i gdy pająk wsączy do rany większą zawartość jadu. Najgroźniejszem jednak jest ukąszenie wtenczas, gdy jad dostanie się odrazu do obiegu krwi, bo wtedy następuje śmierć, zwłaszcza w braku szybkiej pomocy lekarskiej. Trujące działanie jadu polega na rozkładzie czerwonych ciałek krwi.



Na prawo: Oto scena, kiedy „czarna wdowa" — spokojna już o potomstwo, osnuwa swego pajęczego małżonka srebrnemi nitkami, by go tak unieruchomionego wkrótce potem pożreć...



Gruczoł jadowy „czarnej wdowy" jest zakończony kolcem, który pająk wbija w ciało swej ofiary.



Głowa pająka tarantuli.

Współżycie mieszkańców z „czarną wdową", zwłaszcza w południowej Kalifornji, bynajmniej nie jest miłe. Wielka ilość pająków, stale zresztą wzrastająca, stała się poprostu plagą. Niemal żaden dom mieszkalny nie ostoi się przed ich uprzykrzonem towarzystwem. Mieszkańcy usiłują więc różnemi sposobami pozbyć się owych natrętnych i nieproszonych gości.

Ostatnio jako środek zwalczania owych utrapionych pająków podano projekt wprowadzenia do Kalifornji olbrzymiej, bo 25-centymetrowej długości południowo-amerykańskiej ropuchy agua (Bufo marinus). Podniosły się jednak głosy sprzeciwu raz dlatego, że niebezpiecznem jest wprowadzanie do fauny krajowej obcych elementów, które

Dokończenie na str. 20-tej.



Pokój muzyczny, którego urządzenie cechuje pretensjonalność.



Buduar, utrzymany w jasnych tonach, z stylizowanymi mebelkami.



W kole: Anita Louise ze swą matką przy śniadaniu.



Poniżej: Jadalnia angielska.

JAK MIESZKAJĄ GWIAZDY FILMOWE?



Home *Anity Louise*

Pokaż mi jak mieszkasz, a powiem ci kim jesteś; oto jedna z wielu odmian tej figury retorycznej, w którą zależnie od okoliczności, wstawia się różne liczniki przy tym samym mianowniku. Sądzę jednak, że wstawienie w nią właśnie probierzu mieszkania nadaje jej maximum trafności. Awansując to mniemanie, nie tracę z oczu kwestji możliwości materjalnych. Oczywiście ktoś bardzo nawet wysoko stojący pod względem intelektu, kultury, czy choćby sfery towarzyskiej, jeśli jest biedny, może mieszkać wprost w niedostatku, ale zawsze w jego mieszkaniu zaznaczą się szczegóły, świadczące o jego poziomie, bo zawsze osobowość człowieka w ten czy w inny sposób przepaja to wszystko, co stale z nim blisko się styka. A teraz dlaczego właśnie mieszkanie uważam za tak dalece miarodajne?

Dzisiaj bardziej niż dawniej daje się zauważyć pewne rozdwojenie u każdego pracującego człowieka między jego postawą moralną i fizyczną w życiu zawodowem — publicznem, a jego życiem prywatnem — domowem. I tak nieraz pełen namaszczenia wysoki urzędnik, szef-półbóg w biurze dla wielu podwładnych, zanosi po godzinie trzeciej swe dostojeństwo do wulgarnego mieszkanka, gdzie króluje między grubą i niewykwintną żoną, a służącą-garkotłukiem. Odwrotnie też nieraz, kulturalny intelektualista, nie mający dość przebojowych walorów, jak na dzisiejsze czasy, i wskutek tego zajmujący podrzędne stanowisko, po powrocie do domu bierze symboliczny tusz spłókujący z niego wszystko, czem był w ciągu dnia do tej chwili i zaczyna życie w atmosferze poprzednio wspomnianego szefa niedostępnej. Gdybyśmy wyrabiali sobie o nich zdanie, oglądając wnętrza, w których pracują, przeciwstawienie skromnego biurka referenta, z obronnym piersią licznych woźnych gabinetem szefa mogłoby nas zmylić. Tymczasem oglądnięcie mieszkań obu panów, napewno dałoby nam trafne pojęcie, czem który jest naprawdę.

Czasami jednak czyjeś mieszkanie nie jest innym światem w stosunku do jego pracy zawodowej, ale jest tejże pracy przedłużeniem. Ma to miejsce wszędzie tam, gdzie z pracą łączy się reklama lub reprezentacja. Wówczas mieszkanie jest dociągane do potrzeb zewnętrznych, a wydatki na nie wchodzą jakoby w skład kosztów prowadzenia interesu. Czy z takiego mieszkania można także wyciągać wnioski o jego właścicielu? Sądzę, że tak, a to nawet tembardziej, że w takich wypadkach z natury rzeczy możliwości materjalne są znacznie większe, a tem samem możność wykazania, czego się naprawdę pragnie i co komu dogadza

Mieszkania gwiazd filmowych są to typowe mieszkania złączone ściśle z zawodem właścicieli. Pamiętajmy, że amerykańskie wytwórnie filmowe stale prowadzą propagandę swych gwiazd, a ich życie prywatne jest główną kanwą tej propagandy. Każda wschodząca gwiazda musi w świecie filmowym zająć godne stanowisko i zadokumentować swoją rangę gwiazdy nie tylko odpowiedniemi rolami we filmach, ale także odpowiedniemi strojami, samochodem i mieszkaniem.

Willa w Beverly Hills, uroczo położonej dzielnicy kalifornijskiej stolicy dziesiątej muzy, jest legitymacją, że się jest grubą rybą filmową, czy to gwiazdą, czy reżyserem. Propaganda zwykle nie może czekać; jeśli ktoś z wybrańców losu zostaje gwiazdą, sprawę swego home'u musi załatwić nie rozkładając tego na zbyt długi okres czasu. Ale od czegoż jest się w Ameryce, kraju możliwości i standardu. Nieraz kupuje się willę z całem urządzeniem, z larami i piernatami, po zmarłej lub zdegręgolowanej gwieździe, albo można załatwić to przez odpowiednią firmę, zajmującą się urządzaniem wnętrz, aż do ustawienia popielniczek włącznie. Trzeba przyznać, że takie firmy w Ameryce mają przeważnie znakomite siły fachowe, i że luksusowe wnętrza są naogół naprawdę gustownie urządzane.

Dokończenie na str. 20-tej.



Sypialnia z dużą lustrzaną ścianą, powiększającą optyczni



Jędrzej Śniadecki (Sotwaros), prezydent „Towarzystwa Szubrawców".



Ignacy Szydłowski, „namiestnik mówcy".



Michał Baliński, „strażnik łopaty".



Leon Borowski, „mówca" szubrawski.

„TOWARZYSTWO SZUBRAWCÓW"

W lipcu br. odbył się kilkudniowy zjazd chemików polskich w Wilnie, połączony z obchodem 100-nej rocznicy zgonu Jędrzeja Śniadeckiego, wybitnego profesora uniwersytetu wileńskiego, wielkiego uczonego i twórcy polskiego słownictwa chemicznego. Dorobkiem jego naukowym jest fundamentalne dzieło „Teorie jestestw organicznych", podręcznik chemji, oraz liczne rozprawy i artykuły, umieszczane w ciągu 30 lat w czasopismach „Dziennik Wileński", „Pamiętniki Towarzystwa Lekarskiego Wileńskiego", „Dziennik Medycyny, Chirurgji i Farmacji" i „Wiadomości Brukowe".

„Wiadomości Brukowe" były organem klubu literacko-towarzyskiego, zorganizowanego wśród profesorów uniwersytetu i innych wybitnych osobistości. Klub ów przybrał nazwę „Towarzystwa Szubrawców", a jednym z jego założycieli i pełnym życia oraz humoru prezesem był Jędrzej Śniadecki, występujący tu pod klubowym pseudonimem „Sotwaros". Ciekawe są zarówno dzieje tego pamiętnego w dziejach naszej obyczajowości stowarzyszenia, jak również i zakres oraz cele jego działalności.

Nie ulega już dziś wątpliwości, że „Szubrawcy" wzorowali się pod niejednym względem na wolnomularzach. Przypomnijmy sobie w najogólniejszych zarysach ceremonjał obrzędowy, tajemniczo-sowizdrzalski, obowiązujący na „schadzkach" szubrawskich. Przed mownicą stół, dywanem przykryty. Na nim emblematy szubrawskie: gąsior z wodą z napisem aqua fontis (woda źródlana), symbol wstrzemięźliwości, nieodstępna łopata z wyrytym na niej godłem: tacere qui nescit, nescit loqui (kto nie umie milczeć, nie umie i mówić), co oznaczało powagę i rozmyślanie, a obok dzwonek, szklanka i podręczniki historji i geografji. Te oraz inne szczegóły żywo przypominają nam zachowane opisy lóż wolnomularskich z całą symboliką młotów, kielni, kolumn, trójkątów i t. p. Podobieństwo okaże się jeszcze jawniejszem, gdy porównamy rytuały przepisane przy przyjmowaniu nowych członków w obu stowarzyszeniach. Cały ten, błazeński nieco, ceremonjał przemówień przesadnie humorystycznych, wypowiadanych przez „dygnitarzy" szubrawskich, „zaletników" i „witajników", obrzędów dziwacznych itp., bierze źródło w obrzędach masońskich, towarzyszących wprowadzaniu do loży każdego nowego brata.

Wreszcie i wszystkie inne szczegóły współżycia szubrawskiego: słynny „kodeks", organizacja zarządu, liczni „dostojnicy" i „urzędnicy", przezywanie się pseudonimami z mitologji litewskiej, której sami dobrze nie znali, z tradycyj wolnomularskich biorą początek.

Na opinję publiczną oddziaływali „Szubrawcy" artykułami zamieszczanymi w „Wiadomościach Brukowych", z łamów których często przemawiał dowcipny i interesujący „Sotwaros". Gromiono tu lekko, zabawnie, a zawsze nieskażoną polszczyzną, wady i nałogi społeczeństwa, jak rozrzutność, karciarstwo, pijaństwo, źle zrozumianą dumę szlachecką i fałszywą miłość ojczyzny. Przecież to właśnie w celu regularnego wydawania Wiadomości zorganizowali się „Szubrawcy", zobowiązując przytem każdego z pośród siebie do zasilania pisma płodami swej myśli i dowcipu.

1818. Nrek 77.

WIADOMOŚCI BRUKOWE.



Wilno w Sobotę *Dnia 25 Maja.*

Leci a leci.

SZLACHCIC NA ŁOPACIE

Całemu Towarzystwu Szubrawskiemu zdrowia dobrego i pomyślności!

Com przyrzekł światu i sobie w 71 numerku brukowych wiadomości, dotrzymałem święcie. Posłałem wam na ś. Jerzy porzadny rapport o majątkach ziemskich, arendowanych przez starozakonnych, tak w Litwie, jako i Koronie. W oddzielocy rubryce znayduja się imiona, nazwiska, honory i dostojeństwa tych właścicieli, którzy swoje ziemskie majątki, dzieciom Izraela wypuścili w possesyą; w rubryce starozakonnych possesorów, są dokładnie wypisane ich nazwiska i dawnieysza professya, z którey się utrzymywali; w ostatnicy zaś rubryce mieszczą się nazwiska majątków arendowanych przez starozakonnych naszych ziomków, z wyrażeniem gubernii, powiatu i parafii. Za cóż nie oglądam, za cóż nie czyta pumunikowałem. Powiadają. żeście nieprzyjaciele dobra publicznego, wtenczas, kiedy się znalazł Szlachcic, który dla nauki i naśladowania powszechnego, podał do wiadomości nowo wynaleziony sposób szczęśliwego gospodarowania w kraju; wtenczas wy, moi panowie, tchnący zazdroscią ku tey przemyślncy klassie obywateli, starannie przed światem jego o dobro kraju zasługi ukrywacie. Po części i ja byłem z niemi tegoż zdania, że od niejakiego czasu nie rządzicie się już prawidłami sprawiedliwości. Pozwólcież, abym wam, choć w krótkości, wyliczył zasługi starozakonnych, w nowym ich zawodzie wieyskiego gospodarowania. Aby chłopów uczynić pilnymi w postrzeganiu dobra pańskiego, pracowitymi i wesołymi: uwalniają ich od kłopotu ustawicznego czuwania nad własnym dobytkiem, płacą ich każdą drobną usługę, a to nie pańskiemi obietnicami, ale rzeczywistą, w kraju wielki kurs mającą monetą, to jest: *czarką gorzałki.* Tym sposobem,

Karta numeru 77 „Wiadomości Brukowych".

Całkowity zbiór Wiadomości w ilości 287 numerów, które w ciągu lat sześciu (1816—1822) ukazały się na bruku wileńskim, przechowuje się do dni dzisiejszych w bibljotece ordynacji hr. Krasińskich.

Drobne, niepozorne tomiki, na szarym, bibulastym papierze drukowane, z rysunkami humorystycznymi i emblematami u góry „numerków", czynią dziwne wrażenie. Z poza wszystkich dziwactw i ozdób barokowych, z poza wszelkich zrazu zabawnych, potem powtarzających się aż do znudzenia pomysłów satyryczno-alegorycznych (listy z krain egzotycznych i podróże po niebywałych krainach: Nipu, Eldorado, Balnibarbi, Ryspa, Laputa, Santyllana i t. p., nieskończone wędrówki „szlachcica na łopacie", listy nie istniejących korespondentów, często znaleziono w nadzwyczajny sposób, djalogi na ziemi i w państwie cieniów i t. d.), z poza tych szat arlekińskich, w które przybierała się myśl satyryczna „Szubrawców", wyzierają ku nam jasne, otwarte, myślące twarze tych mężów światłych i rozumnych. Owe „wesołe a dostojne" grono wziąwszy w spadku myśl postępową po zeszłym w grób w łunach pożarów wieku „oświecenia", po Spectatorach angielskich i naszych Monitorach, tych słynnych w owym czasie pismach satyrycznych, po Swifcie i Addisonie, Krasickim i Niemcewiczu — wypowiedziało walkę zaciętą ciemnocie i nieobyczajności, trzebiło chwasty pychy rodowej, przesądów kastowych, zaśniedziałego konserwatyzmu, obskurantyzmu umysłowego, tytułomanji, podróżomanji i innych „chorób szlacheckich", przygotowując w ten sposób grunt pod zasiew zdrowego ziarna.

Ale jako ludzie, którzy wyszli z łona racjonalizmu XVIII w., nie zrozumieli ducha czasu i stanąwszy na martwym punkcie liberalizmu, nie poszli dalej ani kroku. Ośmieszając romantyzm w czambuł wraz z mesmeryzmem, magnetyzmem zwierzęcym i mistycyzmem, sami wydali wyrok na siebie. Może to tylko zbieg okoliczności, ale stało się tak, że rozwiązanie „Towarzystwa Szubrawców" i zamknięcie wydawnictwa Wiadomości Brukowych przypadło w tym samym pamiętnym 1822 roku, kiedy Mickiewicz puszczał w świat pierwszy tomik swoich poezyj.

„Szubrawcy" spełnili swe dzieło — i odeszli ku wielkiej zapewne radości tych, których niejednokrotnie dotykało żądło ich satyry.

J. W.

NOWY KONKURS MAGAZYNU „AS"



JAK SPĘDZAM WAKACJE?

5 cennych nagród!





„Nad Morskiem Okiem" — fot. Kazimierz Kłaput, Wadowice.

Na lewo: „Mały ogrodnik" — fot. Andrzejowa hr. Olizar, Rafałówka.

Na prawo: „Żagle" — fot. Adam Bratro, Lwów.



Ogłoszony przez nas w nrze 25 Magazynu „As" z dnia 19 czerwca b. r. „Konkurs na najoryginalniejsze zdjęcie z wakacyj" jest w pełnym toku. Zamieszczamy w tym numerze pierwszą serję nadesłanych zdjęć i przypominamy, że udział w Konkursie uwarunkowany jest od wykazania się kwartalną prenumeratą „Asa", zapoczątkowaną nie wcześniej, jak w dniu 25 czerwca br. Na życzenie licznych naszych Czytelników przesuwamy termin zamknięcia Konkursu na dzień **15 października br.** Jest to ostateczna data nadsyłania zdjęć.

Pięć najoryginalniejszych zdjęć otrzyma cenne nagrody, któremi są: Aparat Cine Kodak 8 model 20 i aparat Kodak Regent f. 4.5, ofiarowane przez Firmę „Kodak" Warszawa I, Plac Napoleona 5, — dalej wytworny neseser podróżny, ofiarowany przez Firmę Anastazy Froncz, Kraków, ul. Florjańska 17, — oraz dwie nagrody, ofiarowane przez Wydawnictwo Magazynu „As": Aparat radjowy „T 4 z', — czterolampowa superheterodyna marki Telefunken i półwyścigowy rower, fabrykat Rybowskiego.



Na lewo: „W cieśninie Messyńskiej — fot. Jan Müller, Tyczyn.

★



Na prawo: „Tego każda nie potrafi" — fot. inż. Władysław Bugayski, Katowice.

Dokończenie ze str. 15-tej.

otem zbyt szybko się rozprzestrzeniają i powodować mogą różne zaburzenia w równowadze przyrody, po drugie nieruchome ropuchy nie umiałyby łowić pająków, mieszczących się wysoko w ludzkich zabudowaniach.

Zaproponowano natomiast innego naturalnego tępiciela owych pająków a mianowicie kalifornijską jaszczurkę (Gerrhonotus multicarinatus), której pająki te bardzo smakują; poza tem umie ona doskonale chodzić po ścianach i polować tam na zdobycz. Użycie tej jaszczurki byłoby tem skuteczniejsze, że zjada ona nie tylko dorosłe, poruszające się pająki, lecz także nieruchome ich kokony, przez co tem szybciej może oczyszczać mieszkania ludzkie, stając się sprzymierzeńcem człowieka. Niewiadomo jednak, czy wielu mieszkańców Kalifornji zgodziłoby się na wspólny pobyt pod jednym dachem z jaszczurkami, które nie cieszą się naogół sympatją człowieka.

Spokrewniony z „czarną wdową" jest azjatycki gatunek (Latrodectus tredecinguttatus), również jeden z najjadowitszych pająków. Częsty na Kaukazie, nad morzem Czarnem i Kaspijskiem, oraz na stepach kirgizkich i w Turkestanie, gdzie zwany jest „czarnym wilkiem" lub „Karakurte"; wszędzie budzi postrach, a szczególnie daje się we znaki bydłu, wielbłądom i koniom, rzadziej zaś owcom, które chroni przed napastnikami zarówno bogate runo, jak i grubsza skóra warg. Pająki te kryją się w trawie i zadają ranki pasącym się zwierzętom, kalecząc ich wargi. Wiele ze zwierząt pada wskutek jadowitego ukąszenia. Człowiek, ukąszony przez tego pająka, choruje ciężko, nieraz nawet do 10-ciu dni, doznając silnego i nieznośnego bólu wraz z innemi przykremi objawami, towarzyszącemi zatruciu. Zdarza się, że ogólne osłabienie organizmu trwa nieraz dłuższy czas, nawet przez miesiące. Częste są zwłaszcza ukąszenia człowieka, gdy ten niebacznie położy się na ziemi, trawie lub skoszonem sianie. Ponieważ pająki te nie znoszą zapachu skór baranich, Kirgizi i Kałmucy, wypasający bydło na stepach, pokrywają temi skórami miejsca, na których koczują. Często także przez obszary wypasu przepuszczają stado świń, którym pająk ów nie wyrządza żadnej szkody, a jest dla nich nawet przysmakiem.

Głośnym był w średnich wiekach pająk tarantula (Lycosa tarantella), którego ukąszenie miało wprowadzać człowieka w szał tańca, trwający tak długo, póki nieszczęśliwy nie padł martwy. Wierzono też, że tylko taniec przy odpowiedniej muzyce może uzdrowić chorego i przywrócić go do normalnego stanu. Stąd też wziął swój początek taniec „tarantella". W rzeczywistości pająk tarantula nie jest niebezpieczny dla człowieka i nie groźniejszy od innych pająków, a ukąszenie jego, podobnie jak ukąszenie zwłaszcza większych pająków, wywołuje tylko lokalne zapalenie, nie pociągając za sobą zatrucia całego organizmu.

Pająki, nawet niewinne, nie budzą sympatji u ludzi — przeciwnie, napawają ich odrazą, a niekiedy zabobonnym lękiem. I chociaż nieraz człowiek staje pełen podziwu przed misternie utkaną pajęczyną, jednak twórcy jej — samego pająka, woli unikać.

Dr. Z. M.

Dokończenie ze str. 17-tej.

Ameryka w urządzeniu mieszkań nie lubi programowej i prononsowanej nowoczesności, tak jak Francja, Niemcy, lub nadążająca za niemi w zadyszce Polska, ale raczej wzoruje się na angielskim konserwatyźmie wnętrza, przyczem mimo tego uzyskuje nastroje niewątpliwie współczesne. Wydaje się wykluczonem, aby szanujący się Amerykanin urządził się à la wnętrze wybudowanego we Wiśle zameczku „reprezentacyjnego" i siedział na fotelach ze stalowych rur niklowanych. Stara się mieć wnętrze inspirowane formami stylów historycznych, a w braku mebli autentycznych posługuje się nieraz doskonałemi naśladownictwami.

Obok stylu angielskiego bardzo był do niedawna lubiany w Ameryce styl hiszpański t. zw. „Spanish atmosphere", wyrosły z hiszpańskiej kultury Kalifornji i Meksyku i tamtejszych haciend hiszpańskiej szlachty, a zastosowywany przeważnie zręcznie i ze smakiem we willach i ogrodach bogatych ludzi na zachodzie.

Toteż i mieszkania grubych ryb filmowych przeważnie urządzane w rozmaitych „nastrojach", zależnie od gustu właścicieli, były przeważnie dobre jako poziom, a to tembardziej, że powstawały w sferze wpływów wytwórni filmowych, które same wysoko postawiły u siebie sztukę dekoratorską wnętrza stylowego, dysponując pierwszorzędnymi fachowcami w tym kierunku.

Lecz Ameryka nie byłaby Ameryką, gdyby wśród tego naogół wysokiego poziomu bogatych mieszkań nie trafiały się rzeczy niesłychane i wprost barbarzyńskie. Poprostu frapujące pod tym względem jest mieszkanie gwiazdy filmowej Anity Louise, z którego reprodukujemy parę zdjęć ku uciesze naszych czytelników. Piękność zwykle chroni przed śmiesznością i uczuciem politowania u innych. Jednak nawet niezwykła piękność Anity nie jest w stanie ją od tego uchronić, gdy spogląda się na te zdjęcia i widzi, z jaką godną i zadowoloną miną dawała się fotografować wśród tych pretensjonalnych karykatur, jakiemi są wnętrza jej home'u. Nawet poszczególne sztuki jej mebli stanowią same w sobie istne cocktaile stylów lub ich komiczne wynaturzenia. Jeśli Anitę Louise w ten sposób urządził jakiś spec od wnętrz, a nie ona sama, to doprawdy można powiedzieć, że „ładnie ją urządził". Biedne kobieciątko, — a wygląda przytem na to, że nic a nic nie „loziumie" co się stało.

Każdy pokój to inny świat. Jeśliby Anita chciała sharmonizować swą osobę ze swemi wnętrzami, to przechodząc z pokoju do pokoju powinnaby zmienić wiek, płeć, narodowość i wyznanie. Najmożliwszy jeszcze jest pokój jadalny, zaczepiający o nastrój wnętrza angielskiego, z typowo nakrytym stołem, — zresztą niezłym. Bezwzględnie zganić należy przystawianie mebli o przeznaczeniu przyściennem do ścian lustrzanych, których przecież celem jest wywołanie wrażenia, że wnętrze jest większe o całe odbicie. Takie postawienie przekreśla ten efekt, nie mówiąc już o tem, że mebel taki dwoi się jako objętość, zmienia kształt, kumulując się wzrokowo ze swem odbiciem. To, że ma dwa razy tyle nóg, ile mu potrzeba, — też mu nie służy. Rozszerzanie wnętrza przez oblustrzenie całej ściany okiennej (nawet pod parapetem okna) całkiem już nie ma sensu, bo w tem iluzorycznem przedłużeniu wnętrza znajduje się luka w postaci okna, przez które widzi się znowu coś całkiem odmiennego, kolidującego rażąco z tamtym efektem i przekreślającego go całkowicie.

Salon Anity wywiera wrażenie pretensjonalności i dysproporcji. Kominek niedołężnie profilowany, płaski i za wysoki w stosunku do wysokości pokoju, okna w narożniku domu tuż obok siebie, tak, że robi to trochę wrażenie wnętrza w domu budowanym systemem barakowym. Szczytem okropności jest biało lakierowany rodzaj fortepianu czy klawikordu w stylu Louis XV, którego nogi, zaznaczające swą linją właśnie ten filigranowy styl, równocześnie dostały elefantiasis i są poprostu rozbrajające swoją ohydą i barbarją. Tym nogom dorównują pod każdym względem tapicerskie wycinanki koło okien i drzwi, godne salonu Dulskich.

Fotele przed kominkiem może nawet niezłe, cierpią na samotność i wyglądają, jakby nikt nigdy na nich nie siadał, mimo zachęcających polan drzewa przygotowanych przed kominkiem zimą i latem.

Na dobro tego wnętrza zapisać należy spokojne, symetryczne ustawienie grupy mebli pod dużem oknem, t. j. kanapy między dwoma bliźniaczymi stolikami, niezłych lamp i wazonów. Pokrycie tych mebli o dobrym kształcie — fatalne.

Budoir na pierwszem piętrze ma charakter dziewczęcy i niewinny: życzymy uroczej właścicielce, aby jaknajdłużej dzieliła z nim te cechy. Ale tu dopiero króluje cocktail meblowy. Podrzutki dwóch Ludwików, XV i XVI-ego, gryzą się dzielnie z empirowymi podrzutkami uzurpatora Napoleona. Taburet Ludwik XV, z ramą obitą materjałem, budzi głębokie zastanowienie, gdzie uciekać.

Biurko Ludwik XVI w bardzo złym guście; sądząc po karle, które przed nim stoi, służy do pisania na cztery ręce. Filuterna zagródka na temże karle byłaby wprost nie do zniesienia, gdyby nie to, że budzi w naszej wyobraźni miłe skojarzenie z osobą właścicielki. Stoliczek pod oknem jest zupełnem dziwadłem. Lampa u sufitu horendalna. Sądząc po tem wszystkiem, obraz, który wisi na ścianie napewno nie jest Rafaelem.

Kończymy nasze obserwacje, — jak zwykle — w sypialni. Nastrój pustki i golizny. Komoda Louis XV, zagradzająca drogę do sypialni-złudy, widocznej w lustrze, jest bodajże jedynym dobrym meblem, — wybaczylibyśmy jej nawet, gdyby była falsyfikatem. Nie mamy do niej żalu, że ma osiem nóg, bo to nie jej wina, lecz tego, kto ją tak na lustrze postawił. Stoliki „to w to" w rogu pokoju zaznaczają do fotografji, czem są i co potrafią. Widoczne w lustrze łoże Anity — to poprostu huśtawka dla wyobraźni. Lampa u sufitu oparta na znanym motywie wiszącego tortu urodzinowego z czterema superświecami.

Jedno jest pewne, że malarzom nie daje zarobić urocza Anita. Charakterystycznym jest również brak zupełny tkanin na ścianach oraz dywanów. Czyżby względy praktyczności i czystości? Ale w takim razie poco tyle niezwykle jasnych portjer i pokryć na meblach; te napewno nie są praktyczne.

I jeszcze jedno: mieszkanie to przypomina ubranie, które wyszło z chemicznej pralni i dezynfekcji. Nic w niem niema z emanacji właścicielki. Czy można po niem coś o niej sądzić? Chyba, przyjdzie mi wycofać na początku wypowiedzianą maxymę: „Pokaż mi... i t. d.". Jedno jednak jest pewne: Anita Louise jest naprawdę bardzo piękną kobietą. Dlatego też, gdybym był jej gościem i zapytała mię, co sądzę o jej homie, byłbym przez chwilę zakłopotany, lecz odpowiedziałbym: „Gdyby Pani tu nie było, nie miałbym poco przychodzić, skoro zaś Pani tu jest — nie mogę nic innego widzieć i podziwiać". A potem pomyślałbym, że jeszcze prócz niej, piękne są w tem mieszkaniu słońce i kwiaty: ale to zasługa cudnej Kalifornji.

Almaviva.

NA SREBRNEJ FALI...

„Dar Pomorza" na redzie w Gdyni.

Fot. dr. Azet — Kraków.

PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA”

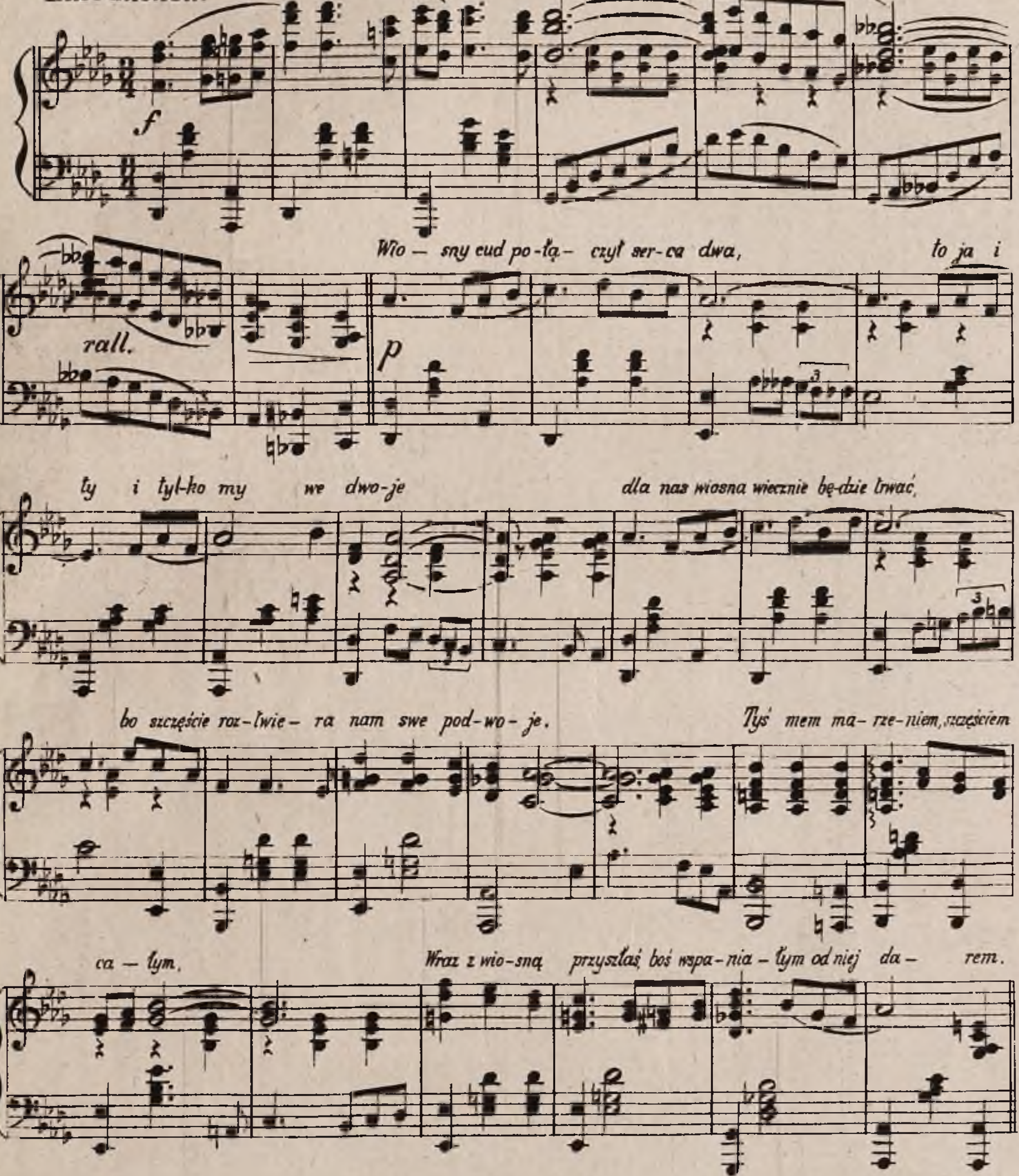
WE DWOJE...
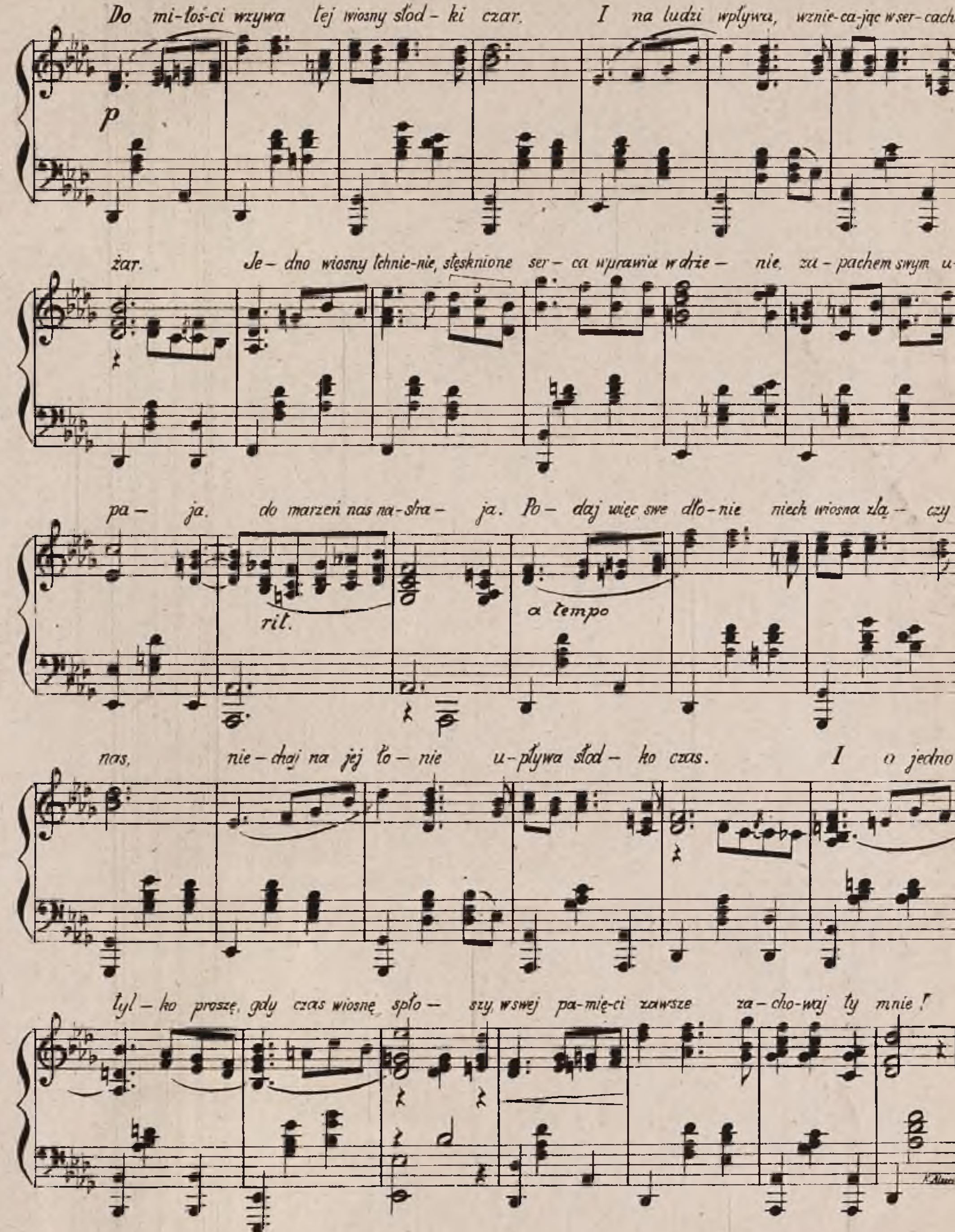
WALC ANGIELSKI

SŁOWA:
RYSZARD HAJDUK

MUZYKA:
EUGENJUSZ T. MILER

Introduction.





Życie jest piękne

STANISŁAW PAGACZEWSKI — **N O W E L A**

NOWELA WYRÓŻNIONA NA KONKURSIE „ASA"

Dyżurny Ever był zaniepokojony. Posterunek 30 zapowiedział przejście pośpiesznego, więc pociąg powinien by już być na stacji od dziesięciu minut. Tymczasem nie było nawet go słychać. Przed chwilką sygnalizował blok wjazdowy, że o pociągu niema żadnej wiadomości. Zapewne spotkał w drodze jakąś przeszkodę. Świst wichru, niosącego tumany śniegu głuszył ewentualne sygnały. Wogóle djabli nadali dyżur w taką noc. Wichura — poprostu huragan, śnieżyca, zaspy, przeszkody na linji. Posterunek 30 telefonował przed godziną, że linja wolna od zasp. Ale wszystkiego można się było spodziewać po takiej śnieżycy. Ever znów nawiązał połączenie z blokiem. — „Wiadomo" — odpowiedział mu wysoki głos — „pociąg stoi w drugim odstępie. Przyczyna: zaspa śnieżna. Dzwoniono do S. po pługi".

Ever powiadomił o wypadku następną stację. Zaklął, gdyż cały porządek nocnego ruchu został wywrócony do góry nogami. Nie będzie można puścić osobowego 613 ani pośpiesznej towarówki o 4.20 nad ranem.

Zawołał do Bensa, siedzącego w drugim pokoju — „Hallo, Bens, pośpieszny zasypany na drugim odstępie. Pługi już musiały wyjechać. Powinny przyjść za parę minut". Następnie narzucił wyłysiałe futro na ramiona, wziął lampę i uchylił drzwi. W jednej chwili potężny kłąb śniegu wpadł do kancelarji. — „Do djabła" — zaklął dyżurny i szybko cofnął się do wnętrza. — Wdział futro starannie, na głowę nacisnął czapkę i jeszcze raz wyszedł. Drzwi z trzaskiem zamknęły się. Ever pochylił się i szedł na peron. Wiatr kołysał trzymaną przez dyżurnego lampą. Śnieg opadał na ziemię gęstemi zwojami, w chwilach, gdy malało napięcie wichury. Wszystko tonęło w miękim, białym puchu, z którego Ever z trudem wyciągał nogi. Ni stąd ni zowąd wyłonił się przed nim cień zwrotniczego. Zetknęli się piersiami. Zwrotniczy złożył ręce w trąbkę i zawołał: „sygnalizują nadejście pługów. Już jadą. Trzy. A to sypie — psiakrew! Wolałbym być pod taką pierzyną, ale w domu, przy babie".

Nagły atak wichru zmusił ich do ostrożnego stąpania. Jednocześnie dał się słyszeć trzask w górze, na lewo od nich. Obaj podnieśli głowy, ale z powodu ciemności nie mogli niczego dojrzeć. Pierwszy zorjentował się zwrotniczy: „Nadłamało konar topoli w ogrodzie pana naczelnika. Pewnie zerwało druty!". Ever znów zaklął i wpadł do kancelarji. Istotnie linja telefoniczna w kierunku S. nie działała. Zresztą nie musiało to być jedyne jej uszkodzenie. „Djabli nadali — połączenie zerwane. Nikt w taki czas nie pójdzie naprawiać. Trzeba jednak ludzi pobudzić".

Kancelarja ze swem oświetlonem oknem stanowiła jedyny stały punkt w białym chaosie, szalejącym dokoła.

— Ładna historja — rzekł Bens. — Na linji zaspa kilkometrowa. Podobno nazbierało się na urwisku przez dłuższy czas i nagle spadło na tor. Mam rozkaz przyłączenia się do pługów.

— Całe szczęście — mruknął Ever.

Bens wdział na siebie futro, szyję owinął grubym, włóczkowym szalikiem, a na dłonie naciągnął długie rękawice. Szalik Bensa miał swoją historję. Nie mógł narodzić się przez dwa lata. Była to robota jego żony, wykonywana w dnie najsroższych letnich upałów. Wychodziła do ogrodu i w cieniu jabłoni pracowicie przepędzała godziny, czerpiąc włóczkę z dwóch kłębków, leżących jaskrawemi plamami na głębokiej zieleni traw. Ale robota zawsze urywała się w połowie. Bens się niecierpliwił. Teraz na wspomnienie uśmiechnął się, ponieważ zdawało mu się, że to nie ciepły szal owinął mu szyję, ale kochające ręce żony.

— W poczekalni niema nikogo? — zapytał Ever.

— Naturalnie, że niema. Nikt nie będzie jechał w taką pogodę.

— Pługi przyszły.

Wyszli na peron. Trzy pługi zatrzymywały się w obrębie światła, padającego z kancelarji. Z powodu nowego ataku wichury Ever i kierownik pługów musieli krzyczeć do siebie. Bens wskoczył do ciasnej kabiny i machnął ręką. Ruszyli. Ever został sam na pustym peronie. Cieszył się na myśl powrotu do ogrzanego pokoju i radował się w głębi ducha z tego, że na miejsce wypadku pojechał Bens, a nie on. Wracając do kancelarji, potknął się i wpadł rękami w śnieg. „Do djabła", zaklął. Było to jego ulubione powiedzenie.

— — — — — — — — — —

W przedziale drugiej klasy dr. Brawford nerwowo zacierał ręce. Niecierpliwym wzrokiem spoglądał na małą walizeczkę, leżącą na półce. Właśnie teraz musiała wydarzyć się ta historja. Właśnie teraz, gdy w miejscowości, odległej zaledwie o dziesięć kilometrów konał jego najserdeczniejszy przyjaciel. „Co robić, co robić", powtarzał i chodził po ciasnej przestrzeni. Był sam w przedziale. Fioletowe światło, płynące z ukrytej lampki, sączyło delikatny półmrok. Okno było całkowicie zalepione śniegiem i lodem. W odległości dziesięciu kilometrów odbywała się rzecz taka codzienna, taka zwyczajna, a tak tragiczna. Umierał Fred, przyjaciel serdeczny, człowiek, dla którego dr. Brawford nie miał dość słów uznania i szacunku. Mój Boże — przecież żyli w przyjaźni czterdzieści lat. Mieli lat dziesięć, gdy zetknęli się po raz pierwszy na wakacjach. Fred budował tamy na strumieniu, a Brawford udawał, że łapie pstrągi. W ciągu tych czterdziestu lat wiele się zmieniło — ale Fred w dalszym ciągu budował tamy z tą jedynie różnicą, że z żelazobetonu i granitu — a dr. Brawford w chwilach wolnych od zajęć lekarskich łowił pstrągi w pięknym strumieniu, wypływającym w starych lasach koło Snowerseet.

I teraz Fred umiera. Poprostu: kończy się. I do tego stosunkowo młodo.

Dr. Brawford ma również pięćdziesiąt lat, a czuje się młodszym conajmniej o lat dziesięć, jeżeli nie więcej. No, ale wiadomo. Różne są organizmy. Fred stracił zdrowie przy meljoracji bagien. Wyziewy błot stały się powodem długiej choroby. Potem przyszło zapalenie płuc i osłabienie serca. Zwyczajna historja. „Ale czemu ten pociąg jeszcze stoi? Co za porządki? Poprostu skandal. I to właśnie teraz, właśnie teraz... Fred umiera... Fred umiera... a my tu stoimy i tracimy czas".

Rozwarł drzwi i wyszedł na korytarz. Pasażerowie zaglądali przez otwarte okna na pole.

— Minimum dwa metry śniegu — mówił ktoś.

— Więcej. Lawina z tego oto pagórka.

Po śniegu chrzęściły liczne kroki. Kołysały się światła. Jakaś pani w żałobie denerwowała się: „przecież ja nie zdążę na drugi pociąg...".

Dr. Brawford dostrzegł w jednym z przedziałów kilka par nart. Jechali jacyś turyści. Wpadł na niespodziewany pomysł. Na nartach nieźle swego czasu jeździł. A możeby tak spróbować dostać się na deskach do najbliższej stacji i stamtąd n. p. samochodem?

Ponieważ był człowiekiem, lubiącym swe myśli natychmiast wprowadzać w czyn, więc bez ociągania się wszedł do przedziału.

— Panowie pozwolą — jestem dr. Brawford — przedstawił się. — Mam do panów wielką prośbę. Muszę stąd natychmiast wyjechać. Panowie rozumieją — do chorego. Chodzi mi o narty — o jedną parę. Zostawię na najbliższej stacji. Oto mój bilet...

— Nie potrzeba, doktorze, jesteśmy szczęśliwi, że możemy panu dopomóc. Jestem Stinson — chemik, znam pańskie nazwisko.

— Nigdy tego panu nie zapomnę, panie Stinson — zawołał doktór, ściskając rękę chemika. — To nie drobna przysługa, ale wielka, wielka, nigdy nie zapomnę...

Wybrano deski o odpowiedniej mniej-więcej dla doktora długości. Wyłoniła się

jednak kwestja ubrania. Zaradzono temu szybko. Doktór miał buty turystyczne stosunkowo dobrze wchodzące we wiązania — a w walizce ciepły sweter.

Przebierał się, drżąc z niecierpliwości. Smarował twarz wazeliną i naciągał ciepłe rękawice, pożyczone przez Stimsona. Płaszcz z walizką polecił opiece konduktora z poleceniem złożenia ich w przechowalni na najbliższej stacji. Wywołując zdziwienie swym nieodpowiednim do jazdy na nartach strojem, przeszedł przez napełniony ludźmi korytarz i wyskoczył na nasyp. Owionęło go przejmujące zimno. Zapinał wiązania. Ktoś stanął obok niego i zawołał:

— Hallo, mister, a dokądżeto droga? Niedaleko pan zajedzie.

— Muszę — odparł Brawford, nie prostując się.

— Ale musi pan też cośkolwiek łyknąć— ciągnął głos dalej. — Oto jest napój godny bogów. Pij pan śmiało. Sam Jerzy VI lepszego nie pija...

— Jeden łyk — rzekł doktór i pociągnął z flaszki.

— Powodzenia!

— Dziękuję.

Odbił się kijkami, posuwając się w kierunku lokomotywy, oświecającej swymi reflektorami dużą przestrzeń, zasłaną śniegiem. Kręciło się tu sporo ludzi z łopatami, ale praca postępowała niesłychanie powoli. Szalejąca bezustannie wichura niszczyła natychmiast wszelką pracę rąk ludzkich. — Śnieg w świetle reflektorów mienił się tysiącami iskierek.

— Za chwilę nadejdą pługi — wołał ktoś do maszynisty.

Wicher prał z wściekłością długiemi smugami śniegu.

— Daleko do stacji? — zapytał doktór.

— Cztery kilometry. Niech pan jedzie torem, bo inaczej można zbłądzić — i niech pan uważa na pługi...

Przez jakiś czas było znośnie. Potężne reflektory oświetlały drogę. Narty posuwały się szybko po marznącym z wierzchu śniegu. Wicher wiał w plecy i popychał. Zaraz za zakrętem legła noc. Światła pociągu biegły w pola i wzgórza, tu już było ciemno. Wiatr bił teraz z boku. Brawford czuł, że mróz przejmuje go do kości. Biegł szybko, przypominając sobie dawne czasy, kiedy to wraz z Fredem szalał po bajecznych alpejskich terenach zjazdowych.

A teraz co się z Fredem dzieje? Ten ukochany przyjaciel, świetny towarzysz umiera. Żeby tylko zdążyć, żeby zdążyć... Od stacji będzie już tylko sześć kilometrów. Czy tylko znajdzie jakiś samochód?

Coraz częściej wstrząsał się od zimna. Przestał odczuwać palce mimo ciepłych rękawiczek.

Jechał wydłużonym krokiem, myśląc tylko o jednem: aby nie zbłądzić i aby zdążyć. Wiatr chwilami cichł, wtedy doktór przyśpieszał kroku i niemal biegł. Deski źle się trzymały, gdyż wiązania były przystosowane do innych butów. Śnieg przemoczył skarpetki i mroził nogi w kostkach. Doktór szeptał z wysiłkiem:

— Żeby tylko zdążyć, żeby zdążyć... choć kilka słów z nim zamienić, żeby choć zobaczył, że przybyłem...

Wargi mu kostniały, na policzkach osiadał szron. Zabolało go nagle lewe ucho — potem przestał je odczuwać.

— Odmroziłem — pomyślał ze złością — ale zaraz zapomniał o tym fakcie i nie stosując najprostszych przeciwko temu zabiegów, biegł dalej z jedną myślą: byle zdążyć.

— — — — — — — — — —

Jane oparła głowę o poduszki i przymknęła oczy. Jeszcze czuła na swych wargach smak pocałunku Wiliama. Czuła też jego obecność koło siebie. Siedział przytulony do niej, napełniony szczęściem i pragnący tylko jednego — aby ta chwila trwała jak najdłużej. Światło w przedziale było fioletowe — w tem oświetleniu twarz Jane nabierała łagodnej bieli. Wiliam objął ją prawą ręką i przytulił swój policzek do jej ciepłego ramienia.

— Powiedz mi: łobuz — rzekła półgłosem do niego.

— Łobuz — szepnął — kochany łobuz...

Objął ją silniej i zbliżył usta do jej warg. Ruszyła przecząco głową.

— Nie, nie chcę, żebyś mnie całował.

Wiedział, że nie mówi tego poważnie. Lekko przygryzała mu wargi. Wreszcie oderwali się od siebie. Odwróciła twarz ku oknu.

— Nic nie widać — rzekła.

— Uhm. To dobrze — odparł.

Spojrzała na niego z uśmiechem. W fioletowym mroku przedziału zalśniły się jego białe zęby.

— Kocham cię — rzekł prosto.

Przysunął się jeszcze bliżej do niej.

— Kocham cię — powtórzył i spojrzał jej w oczy.

— Nie.

— Tak.

— Nie.

— Tak. Tak... nie pozwolę ci zresztą nic mówić...

Wiliam był szczęśliwy. Błogosławił z całego serca śnieżycę, która zatrzymała pociąg. Niemal modlił się o to, aby pługi także ugrzęzły w śniegu.

— Do rana jest jeszcze dużo czasu — rzekł do Jane. — Jestem szczęśliwy, że mam cię przy sobie — moje małe zwierzątko...

— — — — — — — — — —

Dr. Brawford zdrętwiałemi palcami odpiął narty w poczekalni na stacji. Przez chwilę nie odczuwał ciepła pokoju, w którym urzędował Ever. Ledwo powiedział zmarzniętemi wargami:

— Czy dostanę jakiś samochód?

— Chyba nie — odrzekł po chwili. — Nikt nie będzie chciał jechać w tak djabli czas.

— Zapłacę każdą sumę — powiedział doktór i jednocześnie skrzywił się boleśnie. Odmrożone ucho zaczęło palić, jakby przypiekane ogniem.

— Co panu jest? — zapytał Ever zaniepokojony.

— Nic wielkiego. Odmroziłem sobie lewe ucho.

— Istotnie — jest spuchnięte i czerwone — zauważył dyżurny, ciesząc się znów na myśl, że to nie jego spotkała taka przykra przygoda.

— Boli jak sto djabłów — mruknął doktór, ale nie mam czasu na cackanie się. Wystarczy, gdy zawinę je chusteczką.

Ever wyciągnął z pobliskiego mieszkania robotnika kolejowego i polecił mu wyszukanie samochodu „dla tego niecierpliwca", jak określił Brawforda.

Zaspany człowiek w brudnej nocnej koszuli poskrobał się w głowę.

— Chyba od wędliniarza... ale nie wiem, czy nie zepsute... Można spróbować.

Przebiegli niedużą przestrzeń i zadzwonili do małego, ceglanego domku. Przez długą chwilę czekali, marznąc. Wreszcie po trzecim natarczywym dzwonku w sieni pojawiło się światło wraz z mało uprzejmym głosem:

— Zaraz, zaraz, przecież się nie pali...

— Pali się! — krzyknął robotnik.

Drzwi otwarły się niespodziewanie szybko i wyjrzała z nich postać w bieliźnie z rozmierzwionemi włosami.

— Czego?

— Podobno ma pan samochód — zaczął doktór.

— Nie podobno, ale napewno i sądzę, że to niezbyt właściwa pora na stwierdzanie tego faktu.

— Płacę, ile pan zechce za zawiezienie mnie do Snowerseet.

— Daleko — mruknęło niechętnie indywiduum.

— Sześć kilometrów to głupstwo.

— W taką pogodę?

— Głupstwo. Jadę do chorego. Każda chwila jest dla mnie cenna. Jechałem pociągiem, ale ugrzązł w śniegu o cztery kilometry na północ. Przyjechałem na nartach.

— Pociąg ugrzązł? A pan chce jechać samochodem w taki czas?

— Powiedziałem, że nie będę się targować — odparł Brawford i skrzywił się boleśnie. Ucho coraz bardziej bolało.

— Do Snowerseet dobra droga — asfaltowana, wtrącił robotnik. — Nie zalewaj pan.

— A ile dostanę?

— Dużo — zawołał doktór z wściekłością — tylko jedź już pan na miłość Boską! Tam człowiek umiera.

Pierwszy i ostatni argument podziałał. Właściciel samochodu zniknął w pokoju, przepraszając Brawforda. Po chwili ukazał się w kompletnym stroju. Wziął doktora za rękę i pociągnął go za sobą. Znaleźli się w ciasnym garażu. Dolanie benzyny do zbiornika starego Chevroleta było kwestją paru minut. Motor ruszył, przez chwilę trzeba było czekać aż się rozgrzeje. Wędliniarz ujął kierownicę w dłonie i wyjechał na drogę, kierując się na prawo.

— Prędzej, prędzej...

Maszyna z wysiłkiem pokonywała stromą wyniosłość. Śnieg przestał padać, ale wicher trwał nadal. Uderzając z boku, spychał drobną Chevroletkę na brzeg drogi.

Myśli Brawforda krążyły ustawicznie wokoło jednego tematu: czy zdąży.

Stan chorego nagle się pogorszył, gorączka się wzmogła. Niewiadomo, czy osłabione serce wytrzyma ją długo. Od chwili, gdy dostał depeszę: „Przyjeżdżaj. Fred chory. Szybko", nie mógł się uspokoić. Nic dziwnego. Fred był jego najserdeczniejszym przyjacielem. A Brawford, stary kawaler, stawiał przyjaźń ponad miłość. Przypominał sobie chwile, kiedy rozchodzili się pogniewani i rzekomo obcy i chwile, kiedy wracali znów do siebie, nie wspominając ani słówkiem o tem, co zaszło. Przyjaźń trwająca lat czterdzieści, to nie byle co. To rzecz, która może zmienić do gruntu człowieka, nawet najmniej podatnego uczuciom.

Samochód zjeżdżał teraz z góry w kierunku Snowerseet, którego światła były już widoczne. Na samym wstępie do miasteczka utknęli niespodziewanie w sporej zaspie. Właściciel samochodu zaklął soczyście i wyskoczył na śnieg.

— Niema rady. Trza łopat.

Brawford nie miał ochoty na czekanie na pomoc. Wcisnął wędliniarzowi pokaźny banknot w rękę i nie oglądając się za siebie, pobiegł w kierunku mieszkania inżyniera. To było dosyć daleko — na drugim końcu miasteczka, pod wzgórzem. Przebiegł przez rynek oświetlony dwiema nędznemi lampami i zagłębił się w cień krętych uliczek. Już jest na miejscu. Teraz trzeba zadzwonić. Głośno, żeby odrazu otwarli. Jeszcze raz. Czemu nikt nie idzie... A może to już po wszystkiem?... O, teraz ktoś nadchodzi. Dlaczego tak powoli? Śnieg zaczyna znowu padać. Mróz zelżał. Kto? To ja Brawford! Doktór Brawford! Ach — to pan. — No, niech pani mówi... no proszę... co jest?

— Niestety. Przed chwilą...

Dr. Brawford musiał chwycić się oblodzonej sztachety. Przez twarz przeleciał mu drobny, ledwo dostrzegalny grymas. Ruch warg. Potem drgnięcie ramiona.

— Proszę mnie zaprowadzić. Chcę widzieć.

Dr. Brawford — pięćdziesięcioletni młodzieniec — jak go nazywano, wszedł do mieszkania swego przyjaciela z poszarzałą twarzą starca.

— — — — — — — — — —

— Niestety — zaśmiał się Wiliam. — Nie mogę tego zrobić, choćbyś mnie jak najgo-

Dokończenie na str. 31-ej.

OBYCZAJE BRETANJI ZAKLĘTE W PORCELANIE



Orszak ślubny. Od lewej: Muzykanci, dzieci, państwo młodzi, druhna i drużba...



...rodzice pana młodego, goście weselni (marynarze) i rodzice panny młodej.

Na prawo: ...Wychodzę na ulicę i tu dostrzegam sylwetki czarno odzianych Bretonek — przed chwilą porcelanowych — teraz żywych.



Bretanja — północno-zachodnia połać Francji — jest w porównaniu z innemi jej okolicami najbardziej folklorystycznie podobna do Polski. Nasi turyści zaglądają tu stosunkowo najrzadziej, a Polaków mieszka w Bretanji niewielu. Zgadzają się oni jednak ze mną, że ta kraina, o strojach i obyczajach tak odmiennych od naszych, niemniej jednak posiada wiele podobieństw z Polską — może przedewszystkiem w przejawach życia tamtejszej wsi, zamkniętego w sobie i pielęgnującego piękne tradycje.

Do niedawna poznawanie życia mieszkańców tego uroczego zakątka Francji było mi dostępne jedynie wówczas, gdy podziwiałem za szybami setek gablot muzealnych bretońskie cacka porcelanowe, wyrabiane przez liczne zakłady w Quimper. Jak starożytni wykuwali w granicie dokumenty swej epoki, tak Bretończycy opiewają swe życie równie plastycznie, rzeźbiąc pojedyncze figury lub całe sceny w glinie, później na porcelanę wypalanej. Te małe arcydziełka sztuki ludowej odznaczają się swoistym wyrazem i bajecznym kolorytem.

W Bretanji życie ziemi i życie morza sprzęgły się w jedną całość, która dostarcza tamtejszym artystom regjonalnym rozlicznych tematów do ich rzeźbiarskich kompozycyj. Z biegiem lat powstała olbrzymia kolekcja bretońskich figurek porcelanowych, powiększa się z roku na rok o nowy typ charakterystyczny. Przeglądając je po kolei, uśmiechamy się na widok tych, które artysta potraktował karykaturalnie, potem oddajemy się melancholji płynącej z nastrojowych scen życia rybaków i ich rodzin, wreszcie z zaciekawieniem studjujemy bogactwo strojów regjonalnych, oddane z rzadko spotykaną w rzeźbie dokładnością.

Oto marynarz, przebywający na urlopie, wesoło przygrywa na harmonji swej wybranej, podczas gdy ona w wysokim czepcu na głowie, uczepiona u jego ramienia, uśmiecha się zalotnie. Druga grupa figurek przedstawia dwie pary, wracające zapewne z jarmarku. Pierwsza konno, druga pieszo. Ci pierwsi z pustemi rękami — drudzy zaprowadzą za sobą bydło, zakupione chyba od tych pierwszych... A teraz osiem oddzielnych grupek, tworzących łącznie orszak ślubny. Na czele kroczą muzykanci, przygrywający na charakterystycznych bretońskich instrumentach *„bignou"* i *„bombarde"*, za nimi dzieci, dalej państwo młodzi, druhna i drużba, rodzice pana młodego, goście weselni, wśród których niemal z reguły widzimy podchmielonych marynarzy, wreszcie rodzice panny młodej.

Wnet inna grupa rodzajowa przykuwa naszą uwagę: dwie strwożone kobiety, prawdopodobnie żona i narzeczona rybaków, wyczekują nad brzegiem morza na powrót swych ukochanych, który niewiadomo kiedy i czy wogóle nastąpi. Wieczna tragedja żyjących nad morzem i korzystających z jego rozlicznych darów... Ale jeśli jedni giną na swym twardym posterunku — drudzy wracają na ląd i tych widzimy, jak noszą kosze pełne ryb i zatrzymują się na chwilę przed karczmą, gdzie ściera się życie morza i życie ziemi.

Wymienione figurynki — to chyba najciekawsza część produkcji zakładów w Quimper, które prócz nich wyrabiają całe kolekcje talerzy, wazonów itp., pozostających nieraz pod silnemi wpływami wzorów kolonjalnych. Korzystając z uprzejmości dyrekcji tych zakładów, zwiedziłem je bardzo dokładnie. Przed 160-ciu laty postawiono w Quimper pierwsze piece. Od tego czasu dużo się zmieniło. Ulepszono przedewszystkiem samą technikę wypalania figurynek. Wyrabia się je z mieszaniny specjalnych glinek, dobieranych w ten sposób, by tworzyły z późniejszą warstwą emalji możliwie najtrwalszą całość. Tę mieszaninę, po osuszeniu z pomocą centryfugi w gipsowej formie, która pochłania resztę wilgoci, ogrzewa się w piecach mazutowych w temperaturze 1000 st. Następnie każdy przedmiot zostaje zanurzony w płynnej emalji, składającej się z krzemów ołowiowych i sodowych, gotowanych w temperaturze 1400 st. Stronę malarską wykonują miejscowi artyści przy pomocy farb, w których znajduje się sproszkowane szkło z różnemi dodatkami. Utrwalanie wymalowanych wzorów odbywa się już w innym piecu, w ciągu 8—12 godzin.

Po zwiedzeniu wytwórni wracamy nad brzeg morza, między małe domki rybackie i tu, wdechując ożywczy powiew słonego powietrza z nad oceanu, podziwiamy sylwetki czarno-odzianych Bretonek — jeszcze przed chwilą porcelanowych — teraz żywych.

Zygmunt Frenkiel. (Paryż).

DBAJMY ★ O ★ HIGIENĘ!

Codzienna kąpiel

daje ciału zdrowie i piękno

Nareszcie zażyję kąpieli! — mówi dowcipniś po powrocie z nad morza, wchodząc do swojej łazienki. Jakto? — więc po dłuższym pobycie nad morzem, gdzie chyba można było dowoli rozkoszować się kąpielą, cieszymy się na kąpiel w wannie? Wygląda to paradoksalnie, a jednak racjonalnie urządzonej łazienki nie zastąpi zanurzenie się w falach błękitnego Adrjatyku, czy szmaragdowego Bałtyku.

„Pokaż mi twoją łazienkę, a powiem ci, jakim jesteś" — mówi Amerykanin. Bo łazienka estetyczna i racjonalnie wyposażona świadczy najlepiej o kulturze fizycznej jej właściciela. Nie chodzi o to, aby olśniewała luksusem, ale aby była celowo wyposażona. Do takiego wyposażenia należy prócz wygodnej wanny kolekcja szczotek, mydeł, nowoczesny tusz elastyczny w miejsce dawnego tuszu „deszczowego", wmurowana w ścianę szafka na płaszcze kąpielowe, na ręczniki, czapkę gumową, pantofle i inne rekwizyty.

Gdy już zmierzyliśmy temperaturę wody i nasyciliśmy ją zawartością gałki żywicznej, lub mineralnemi solami, wchodzimy do wanny. Po kilkuminutowem „odleżeniu się", zaczynamy zabieg kąpieli od wyszorowania całego ciała ostrą, namydloną szczotką, kierując ją od stóp ku górze ciała.

Silny strumień ciepłego tuszu oczyszcza skórę z resztek mydlin. Teraz już stojąc, aby skóra nie stykała się z wodą, nasyconą mydłem, tuszujemy się zimną wodą, poczem nacieramy ciało gąbką lub szczotką gumową.

Procedura kąpieli skończona. Osuszamy skórę szorstkim ręcznikiem, otulamy się w płaszcz kąpielowy i albo udajemy się na krótki wypoczynek, albo — o ile pozwala nam na to odporność fizyczna — wykonujemy kilka sprężystych ruchów gimnastycznych.

Codzienna kąpiel według tego programu jest najbardziej celową pielęgnacją zdrowia i urody!





Powyżej: Po gorącej kąpieli przecieramy silnie skórę szczotką ryżową, rozpoczynając od stóp w górę, a następnie... Na lewo: ...stosujemy zimny tusz, również rozpoczynając od nóg.



a) Tusz pleców.

b) Szczotka na długiej rączce umożliwia obmycie pleców.

NOWOCZESNA KOSMETYKA

XVI.

Masaż NÓG

Masaż nóg jest jednym z najważniejszych, bo dotyczy najważniejszych istotnie mięśni naszego ciała. Wzmacnia on mięśnie nóg i powoduje lepsze krążenie krwi. Masując się własnoręcznie, trzeba poznać kilka zasad ogólnych. I tak nie należy naciskać skóry na kościach i w miejscu stawów. Ruchy rąk przy masażu powinny być okrągłe i dość silne wszędzie tam, gdzie jest dużo mięśni. Auto-masaż nóg wykonuje się w trzech pozycjach. Siedząco, leżąco i stojąco.

Siedząc, masujemy stopę lekkiemi ruchami obu rąk, przesuwając je od palców ku kostce. Tym samym ruchem, lecz silnym, masujemy łydkę od kostki do kolana.

Masaż w pozycji leżącej jest jednym z najskuteczniejszych, gdyż udostępnia wszystkie mięśnie uda i przedudzia. Położywszy się na ziemi, ujmuje się nogę przy kostce, wzniesioną pionowo do góry. Zwolniwszy mięśnie nogi, przesuwamy dłońmi od kostki do kolana i od kolana masujemy silnie udo zwłaszcza od wewnątrz, gdzie w żadnej innej pozycji mięśnie nie są ku temu dostępne. Również i mięśnie łydki masuje się silnie.

W tej samej pozycji masuje się jedną nogę przy pomocy drugiej, mianowicie uderzając wierzchem stopy o spód łydki, tak długo aż poczujemy silniejsze pulsowanie krwi. Przy masażu łydki zgina się oczywiście kolano.

Nakoniec przeprowadza się masaż nóg stojąco, przy oparciu się o wannę w łazience czy o stół w pokoju. Schyliwszy się, masujemy kolejno wierzch łydki i uda, poczem schylamy się jeszcze niżej i obejmując zgiętą w kolanie nogę w kostce, opuszczamy ją w dół poprzez obręcz naszych rąk.

Do masażu należy też klepanie mięśni palcami czy też pięścią. Każdego ranka zastosujmy go do uda i przedudzia, klepiąc palcami lekko i żywo partje przednie nóg, a pięściami uderzając miejsce w miejsce partje nóg o większej ilości mięśni. Wykonujemy to ruchami przyspieszonemi. Kto przy dotyku mięśni przy kostce lub pod kolanem, odczuwa ból, nie powinien się masować wogóle, lecz zwrócić się do lekarza o konsultację.

Masaż jest jednym z najlepszych środków utrzymania kształtu nogi bez zmian, jakie przychodzą z latami, a często początkami swemi sięgają jeszcze lat dziecinnych lub okresu dojrzewania. To też powinny go stosować osoby, zarówno szczycące się piękną nóżką, jak i pozbawione tego wspaniałego daru natury. Wiele kobiet cierpi z tego powodu, nie przeciwdziałając złemu stanowi rzeczy. Tak postępować nie wolno. Zawsze prawie jest jeszcze czas do zastosowania środków zaradczych. Jednym z nich jest masaż i to auto-masaż, który równocześnie wyszczupla całą sylwetkę przez pracę wszystkich innych mięśni. Kto może sobie na to pozwolić, uzyska dobre rezultaty przez masaż elektryczny czy naświetlania specjalnemi lampami czy aparatami krótkofalowemi. Stosując jednak auto-masaż konsekwentnie i stale, nie zrażajmy się brakiem natychmiastowej poprawy, lecz pracujmy wytrwale, a rezultaty objawią się w miłej formie poprawionego kształtu nóg, przy równoczesnem wzmocnieniu i wyrobieniu mięśni.

Po większych wysiłkach fizycznych lub gdy trzeba stać dłużej, należy dać nogom odpoczynek i to trzymając je do góry przy leżeniu na wznak. Następnie ujmuje się każdą nogę po kolei w kostce i obydwoma dłońmi przesuwa się w stronę kolana coraz mocniej za każdym razem, jak gdyby ściągając krew, zawartą w żyłach, od stopy ku górze. Istotnie dopomaga się w ten sposób odpływowi krwi z nóg, jak i odpływowi płynów limfatycznych, zapobiegając tworzącemu się chwilowo rozszerzaniu żył.



Masaż stopy.



Masaż łydki.



Gimnastyka stopy, którą obracamy ruchem kołowym.



Po natarciu nóg kremem pudruje się je lekko talkiem.



W mieście i na wyjeździe

Niejednokrotnie już zastanawiano się nad tem, co właściwie cechuje dobrze ubranego mężczyznę. Dla jednych okaże się wystarczającem, jeśli ktoś nosi ubrania, które wyszedłszy z pod igły pierwszorzędnego krawca prezentują się bez zarzutu. Dla drugich — więcej wymagających — takie ograniczenie krytycznego spojrzenia do samego tylko ubrania będzie mało przekonywującem i ci wszyscy zawsze ocenią elegancję stroju mężczyzny na podstawie drobiazgowej analizy całości i jej kompozycji. Tu więc dobry krój samego ubrania stanowić może tylko jeden z wielu punktów tej oceny. Znajdą się bowiem między niemi wszystkie inne akcesorja stroju, jak bielizna, krawat, buciki, kapelusz, rękawiczki a nawet spinki. — Ale na tem nie koniec! Tu zapewne niejeden zdziwi się i powie: *Cóż ten Brummel właściwie chce? Przecież o to właśnie chodzi, aby wszystko ze sobą harmonizowało i jako całość stanowiło klasę dla siebie!* Tak, to prawda, ale... To właśnie małe „ale" istnieje i o niem chcę tu pomówić:

Przyjmijmy, że w danem mieście żyje elegant, którego sposób ubierania się został uznany przz ogół jako doskonały wzór elegancji. Cóż się może stać? Pewnego ładnego poranku wyjdzie na ulicę setka mężczyzn, ubranych identycznie tak, jak ów szanowny gentleman i wyobrażających sobie, że za jednym zamachem zdobyli szlify elegantów. Tymczasem taki standard, konieczny w wojsku, okaże się zawsze karykaturą w stroju „cywilów", bo jest zaprzeczeniem jednej z najważniejszych zasad elegancji, indywidualnego smaku. — W modzie męskiej, jeśli naturalnie chodzi o kompozycję całości stroju, zawsze decydującem będzie wyrobienie sobie osobistego stylu. Drugą, niemniej ważną zasadą jest umiejętne przystosowywanie form stroju do różnych okoliczności życia. Jeśli już o tem mówimy, trzeba wyraźnie zaznaczyć, że nie chodzi tu o podstawowe prawidła, zakazujące np, użycia ubrania sportowego tam, gdzie jest frak wymagany lub nakazujące zastosowanie białej koszuli na wieczór zamiast kolorowej — lecz, że mamy na myśli ową orjentację, która nas upewni, iż np. na wyjeździe, w jakiejś miejscowości klimatycznej nie będziemy wyglądać śmiesznie, przebywając na dancingu w kombinacji sportowej, lub gdy z braku czasu na przebranie zdecydujemy się po nocnej zabawie na wycieczkę samochodem w.. smokingu.

Brummel.

Week-end ma swoje prawa. To też nie zdziwimy się, widząc mężczyznę wchodzącego w ubraniu sportowem na dancing w miejscowości klimatycznej. — W mieście obowiązują surowsze przepisy, zarówno pod względem kroju, jak i barwy ubrań.



MODA ★ JESIENNĄ ★ PORĄ

FILC WEŁNA FUTRO

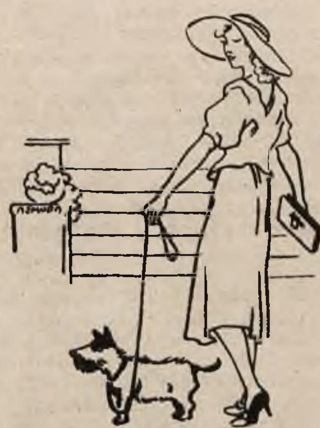


Ensemble z wełny „angora-jersey", bluzka zapinana na zamek błyskawiczny w zakładki przeszyte w kratkę, spódniczka z przodu plisowana.



Suknia z brunatnej wełny boucle, kołnierzyk z angory szydełkowanej lub na drutach. Uzupełnienie stanowi żakiecik z jersey'u.





Droga Zosiu! I znowu jestem w Paryżu. Teraz dopiero dochodzę do przekonania, że w piosenkach kabaretowych tkwi dużo prawdy życiowej. — Jakżeż aktualna staje się znowu piosenka „Tylko Paryż, Paryż, Paryż..."! — Powiadam ci — istne cuda! Nie mam na myśli ani wieży Eiffla, ani Tuilerjów, ani innych cudów architektury, bo te nie zmieniają się od lat. Ale ta moda. Powiadam Ci, określenie, że „ona ubiera się jak jej babka za młodych dni" nie jest teraz bynajmniej rozumiane jako drwiąca satyra, lecz przeciwnie, jako wyraz najwyższego komplementu dla eleganckiej pani. Moda obecna jest niejako wierną kopją przełomu XIX i XX wieku.

Co za przepych! Gdyby tak można przewieźć te cuda, a przedewszystkiem mieć fundusze na to, coby się przewieźć chciało! Prześliczne wcięte kostjumy kloszowe, przeważnie z zielonej wełny — zieleń dominuje obecnie w zaraniu jesieni, jak gdyby z zanikiem lata chciał się nią nasycić cały świat kobiecy — obramowane są puszystemi, gładkiemi, krętemi futrami, we wszelakich barwach i gatunkach. Suknie wełniane przybierane są haftami przeważnie w kolorach czerwonych i czarnych, bordowych i fioletowych. Poza materjałami zielonemi dominują wszystkie odcienie kolorów tabaczkowych, bordowych i popielato-brunatnych. Na wieczór modny jest przedewszystkiem czarny aksamit.

Z materjałów na fasony sportowe lansowany jest trykot i jersey, przybrany aplikacjami, haftem stebnowanym itd. Największe powodzenie z futer mają lisy i breitszwance, oraz oposy. Wróciły olbrzymie kołnierze, osłaniające twarz do połowy policzków. W sportowych modelach widzimy ocelotty, lamparty.

Płaszcz zyskał znowu na samodzielności, zwłaszcza w charakterze okrycia przejściowego; nie uzależnia się jego kroju ani motywów zdobniczych od spodniczki i bluzki, lecz najwyżej harmonizuje się pewne szczegóły wykonania ze suknią. Widziałam bardzo szykowne i twarzowe modele z t. zw. barankowej wełny czarnej, kasztanowej i granatowej, kombinowane z białą piką w formie obszywek, wypustek itd.

Muszę Ci jeszcze opisać kilka modeli kapeluszowych. Dominuje naturalnie filc jedwabny i matowy. Spotyka się jednak także kreacje z weluru i aksamitu. Przeważnie są to płytkie fasony beretowe lub kapelusze wysokie, o oryginalnych kształtach główki, otoczonej rondem o fantazyjnej linji. Widziałam również kilka bardzo szykownych „tricornów", oraz bardzo ładne, egzotycznie upięte turbany. Uderzyła mnie szczodrość mody w szafowaniu koronką jako rekwizytem zdobniczym na kapeluszach. Koronka spływająca z tyłu głowy, koronka ocieniająca twarz, koronka jako kokardowe upięcie — oto warjanty ostatnich przebojów.

Kończę już moje sprawozdanie, bo chciałabym je jeszcze dzisiaj wysłać pocztą lotniczą. Żałuję, że nie możesz razem ze mną podziwiać cudów paryskiej mody i pozdrawiam Cię serdecznie

Mary.

Poniżej: Elegancki i oryginalny model kapelusza z popielatego filcu, przybrany stebnowaną wstążką rypsową, noszony do futerka z ocelotów.



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka obliczone na 3—4 osoby.

SAŁATKA W PAPRYCE NA SUROWO. Z dwóch twardych jaj wyjmuje się żółtka i uciera je z jednem surowem żółtkiem i 4 łyżkami oliwy, dolewanej kroplami, następnie zaprawia się ten majonez szczyptą soli i cukru oraz sokiem cytrynowym. Dalsze dodatki stanowią kilka małych okrągłych marchewek, zwanych karotkami, utartych na cienkiem tarle. 2 twarde jaja drobno posiekane i łyżeczka siekanego kopru. Wszystkie dodatki miesza się z majonezem. Kilka dużych zielonych papryk parzy się wrzącą wodą, obciąga ze skórki, przekrawa na połówki, wyskrobuje i wymywa dokładnie z wewnętrznych włókien i ziaren, poczem napełnia się każdą połówkę powyżej podaną sałatką i przybiera z wierzchu kawałkiem pomidora. Papryki układa się na szklanym talerzu na podłożonych liściach zielonej sałaty.

KNYSZYNKI (potrawa wschodnich Kresów). Z 30 dkg mąki, 2 dkg drożdży, łyżki masła, łyżeczki soli oraz odpowiedniej ilości letniego mleka, wybija się zupełnie wolne ciasto i wstawia je w cieple na godzinę. Filiżankę przebranej kaszy tatarczanej parzy się na sicie, następnie dodaje się dwie filiżanki gorącej wody, łyżkę masła lub smalcu i łyżeczkę soli, poczem gotuje się ją na sypko, wstawioną w naczynie z gorącą wodą, lub lepiej jeszcze do skrzynki samowarka. Wyrośnięte ciasto rozwałkowuje się bardzo cienko, pokrywa kaszą i posypuje suto skwarkami z tłuszczu gęsiego lub wytopionego bilu wieprzowego, zwija na niezbyt gruby rulon, który kraje się w kawałki, te zaś skręca się w „ślimaka" i układa na tłuszczem natartej blasze, smaruje masłem i po powtórnem wyrośnięciu piecze w gorącym piecyku na rumiano. Podaje się gorące, jako przystawkę lub do kolacji.

ZRAZIKI CIELĘCE PO WŁOSKU. 30 dkg czystego mięsa cielęcego, przemiela się dwa razy z kawałkiem suchej bułki oraz kawałeczkiem czosnku. Do zmielonego mięsa dodaje się: 2 żółtka, utarte z łyżką masła lub oliwy, pół łyżeczki soli i pieprzu, 2 białka roztrzepane, lecz **nie** ubite na pianę. Masę tę miesza się przez kilka minut aż dobrze zbieleje, potem formuje się z niej małe sznycelki, które się rzuca na wrzące masło, osmaża na rumiano, przykrywa i odstawia do niezbyt gorącego piecyka. Funt pomidorów parzy się wrzątkiem, obciąga z wierzchniej skórki i dusi na łyżce masła bez dolewania wody, tylko z szczyptą soli i cukru. Po 5—8 minutach są gotowe. 15 dkg najcieńszego makaronu włoskiego, gotuje się w słonej wodzie przez 15 minut, potem odcedza się, przelewa zimną wodą, aby nie był śliski. Makaron układa się w rant na okrągłym półmisku, wewnątrz zagłębienia ustawia się wokoło usmażone zraziki, w sam środek zaś nakłada się pomidory. Masłem odgotowanem z pod zrazików oblewa sie makaron.

PRZYSTAWKA Z WĄTRÓBKI. Mając uduszoną wątróbkę gęsią lub w ostateczności cielęcą, można szybko sporządzić na zimno dobrą przystawkę, do której użyć można pomidory lub kwaśne ogórki. Pomidory należy obciągnąć z łupki i wydrążyć, ogórki przekroić należy wzdłuż i również wybrać z nich ośrodki, aby się utworzyło zagłębienie. Farsz do napełniania sporządza się z parę razy przemielonej wątróbki wraz z paru twardemi jajami, poczem zaprawia się masę solą i pieprzem. Ustawione na szklanym półmisku, napełnione farszem pomidory wzgl. ogórki, przybiera się każdy majonezem lub masłem sardelowem, wreszcie tylko szczypiórkiem i tartą na cienkiem tarle rzodkiewką. Listki sałaty i zielonej pietruszki służą do przybrania półmiska.

*** JABŁKA PIECZONE A LA GOURMET.** Jabłka na tę elegancką legominę należy wybierać równej wielkości, kruche, o kwaskawym smaku. Gładko ołupane, wydrąża się je specjalnym nożykiem, oblewa sokiem cytrynowym, aby pozostały białe i ustawia na muszelkach lub specjalnych ogniotrwałych, szklanych miseczkach. Każde jabłko szpikuje się paseczkami parzonych migdałów, napełnia marmeladą brzoskwiniową, kropi suto rumem, osypuje grubym cukrem kryształowym i wstawia do gorącego piecyka, uważając, aby były po upieczeniu miękkie, lecz, aby się nie rozpękły. Jabłka podaje się na miseczkach, na których się piekły, osobno kruche ciasteczka.

BOMBA Z MELONA. Mały, tzw. ananasowy melon, musi być dokładnie szczoteczką wymyty i wytarty, gdyż podaje się go niełupany. Ściąwszy grubszy kawałek z wierzchu, wydrąża się, raczej wycina się nożykiem lub ostrą łyżeczką miąższ, który się drobno sieka i miesza z gęstym kremem, ubitym na parze z 4 żółtek, utartych z 12 dkg cukru i dolewanem po trosze winem. (Literatka wina wystarczy). Ubity na parze krem kręci się dalej aż do ostudzenia, poczem dodaje się 3 listki żelatyny, rozpuszczonej w troszce gorącego wina, (należy przecedzić do kremu), miesza się z posiekanym melonem i napełnia wydrążony melon: melon stawia się na lodzie na przeciąg 10—12 godzin. Zastudzoną bombę kraje się wkrzyż na trójkątne części, które dla amatorów można pokryć bitą kremówką lub tylko skropić rumem.

Sc. Ke.

PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI
W GOSPODARSTWIE DOMOWEM



Nie mając specjalnego aparatu Wecka, można gotować (sterylizować) słoje z kompotami, owijając je papierem gazetowym i ciasno stawiając w dużem naczyniu. Pod słoje należy również dać gruby podkład gazet. Na wsi łatwiej o siano, więc z dawien dawna gotuje się słoje z kompotami i sokami owinięte sianem. W mieście gazety spełnią doskonale ten sam użytek.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 37 — **Wrzesień** — 30 dni



NIEDZIELA **4** Rozalii	Zupa ox tail.Przystawka z wątróbki w pomidorach.Dzika kaczka z czerwoną kapustą. Jabłka à la gourmet. Kolacja:Zimne mięso z sałatką w papryce.
PONIEDZ. **5** Wawrzyńca	Rosół z lanym makaronem.Sztuka mięsa z sosem ogórkowym. Zraziki cielęce z pomidorami i włoskim makaronem.Knedelki z śliwkami. Kolacja:Knyszyki.
WTOREK **6** Zachariasza pr.	Zupa pomidorowa z ryżem.Kotleciki jarzynowe z sosem grzybowym.Kurczę pieczone z sałatą.Kompot mieszany. Kolacja:Omlety z grzybkami.
ŚRODA **7** Reginy p.	Zupa ogórkowa z ziemniaczkami.Faszerowana kapusta.Pieczeń cielęca zawijana z jarzynkami.Placek kruchy z owocami. Kolacja:Płatki z szynką zapiekane.
CZWARTEK **8** Narodz. NPM.	Zupa kalafiorowa.Fasolka szparagowa z masłem.Kotlety wieprzowe z duszoną kapustą.Budyń bułkowy z szodonem. Kolacja:Rizotto z groszkiem.
PIĄTEK **9** Gorgoniusza	Zupa jarzynowa purée.Kotlety z włoskiej kapusty w cieście.Ryba w sosie sardelowym z makaronem.Strudel z jabłkami. Kolacja:Grzybki z jajami lub ryby wędzone.
SOBOTA **10** ikołaja z Tol.	Barszcz czysty z uszkami.Bukiet jarzynowy.Rozbratle prędkie z zapiekanemi ziemniaczkami.Sałatka z owoców. Kolacja:Krokietki z mięsa rosołowego.



HOCKI-KLOCKI

Rozwiązania z Nru 35-go.

PO BRIDGE'U.

W pierwszych 18 robrach musiało się odbyć po 6 kolejek, przyczem wszyscy, prócz Władysława, wygrywali po 2 robry. Tak więc Henryk wygrał 6×2×3 = 36 punktów i otrzymał ¼ przegranej Władysława. Pozostali partnerzy zainkasowali 3 razy tyle, czyli 108 punktów w stosunku 90 dla Karola i 18 dla Zygmunta. Władysław wypłacił 14 złotych 40 groszy.

BRODACZE.

Panowie bez wąsów, to panowie całkiem ogoleni oraz brodacze nie mający wąsów, a więc 57½% = 55% + 4. Stąd 4 = 2½%, czyli że panów było 160.

LICZBA KWADRATOWA I SZEŚCIENNA.

Liczbą zarazem kwadratową i sześcienną jest 1,225 (35^2).

TAJEMNICE HIGH LIFE'U.

PAPUGA PANA HRABIEGO

HUMORESKA BOGDANA BRZEZIŃSKIEGO

Wierny Jan był bardzo zmartwiony. Oto pan hrabia oznajmił mu, że się nudzi i że właściwie nie ma do kogo otworzyć ust.

Wierny Jan myślał intensywnie, z nisko pochyloną głową, aż nagle wyprostował się i z radosnym błyskiem w oczach, powiedział:

— Mam pewien pomysł... Gdyby pan hrabia się zgodził...

— Mów wierny sługo — odparł hrabia Olgierd głosem, w którym czaił się spleen.

— Mój znajomy wyhodował papugę, która mówi nietylko oderwane wyrazy, ale nawet całe zdania — ba! potrafi nawet z sensem odpowiadać, opowiadać anegdotki, a nawet nucić kołysanki.

— To ciekawe — stwierdził obojętnie hrabia.

— Czy ten człowiek może przyjść ze swoim ptakiem? Sądzę, że byłby skłonny sprzedać papugę za dobrą cenę.

Hrabia Olgierd skinął głową.

Wieczorem przyszedł znajomy wiernego Jana, niosąc w dużej klatce niezwykła papugę.

— Dzień dobry panu hrabiemu! — zaskrzeczał ptak. — Ładną mamy pogodę, ale jutro pewnie będzie padał deszcz!

Hrabia uśmiechnął się przychylnie.

— To naprawdę inteligentna papuga — rzekł. — Niech teraz powie jaką anegdotkę.

Papuga nie dała się długo prosić.

— Spotyka się dwóch głuchych — zaskrzeczała — „może pójdziemy na ryby?" — mówi jeden — „nie mogę, bo idę na ryby" — odparł drugi — „to szkoda, bo myślałem, że pójdziemy razem na ryby" — krzyczy pierwszy.

Hrabia skrzywił się lekko.

— Stary kawał, ale czego wymagać od papugi, skoro nawet zawodowi humoryści opowiadają niekiedy jeszcze starsze...

— Czy pan hrabia pragnie nabyć moją Mimi? — spytał właściciel fenomenalnej papugi.

— No, owszem. A ile ona kosztuje?

— 5.000 złotych! — zawołała papuga.

— To bardzo drogo — powiedział hrabia, krzywiąc się nieznacznie.

— Drogo?... Stary, wracamy do domu! — zaskrzeczała papuga, zwracając dziób w kierunku swego właściciela.

Hrabia roześmiał się i już bez słowa zapłacił żądaną sumę. Wychowawca papugi i wierny Jan wyszli — hrabia i papuga zostali sam na sam.

— Czy umiesz po francusku, Mimi? — spytał hrabia.

— Nie, panie hrabio. Popieram wyrazy krajowe...

Hrabia skrzywił się z niesmakiem.

— To bardzo kiepsko. Myślałem, że sobie utniemy kulturalną pogawędkę, a widzę, że mam do czynienia z prostaczką!

— Co?! — zawołała papuga. — Ja prostaczka?? Dobrze! Wobec tego proszę przyjąć do wiadomości, że nie otworzę do pana już nigdy dzióba!

Upływały dni, tygodnie, miesiące — a papuga Mimi milczała, jak zaklęta.

— Skoro Mimi jest nieprzejednana — powiedział hrabia Olgierd — muszę wprowadzić pod mój dach kobietę. Przecież z kimś muszę rozmawiać! Wierny Janie, żenię się z baronówną Knopf!

Baronówna była bardzo piękna, ale miała jedną wadę: gadała bezustanku. Po roku pożycia z żoną, hrabia Olgierd powiedział:

— Wierny sługo, mam pecha. Papuga nie gada zupełnie, a moja małżonka gada, jak radjo. O, jakże byłbym szczęśliwy, gdybym miał jakiś powód do rozwodu!

I to rzekłszy, wyjechał na polowanie. Wrócił po trzech dniach, podniecony, rozgorączkowany.

— Wierny Janie — powiedział szeptem — dostałem anonim, że moją żonę we wtorek odwiedził młody markiz Hematogen... Dziś mamy środę, przybyłem więc za późno. A taka była okazja, żeby ich złapać na gorącym uczynku i następnie przeprowadzić rozwód!

— Istotnie — odparł wierny Jan — niestety, wszystko stracone!

Nagle rozległ się skrzeczący głos Mimi:

— A ja to pies, moi panowie? Przecież ja tu byłam przez cały czas i mogę złożyć zeznania!

— Zwycięstwo! — zawołał hrabia Olgierd. — Wreszcie pozbędę się nieznośnej żony! Więc będziesz ze mną rozmawiać, Mimi?

— Niech tam, wybaczam ci! — odparła papuga i dziób jej skrzywił się w uśmiechu.

— — — — — — — — — —

Gdy w pół godziny później wierny Jan wszedł do pokoju hrabiego, papuga śpiewała kołysankę, a hrabia drzemał w fotelu.

AKCENT DOJRZAŁOŚCI.



— Mamo, czy mogę użyć kredki do ust, bo zdaje mi się, że mężczyźni zaczynają na mnie zwracać uwagę...

ROZRYWKI UMYSŁOWE

BUTELKA Z GROCHEM.

Na jarmarku w Kaczym Dołku ofiarowano nagrodę za odgadnięcie, ile ziarnek grochu wsypano do butelki.

Żaden z ubiegających się o nagrodę nie odgadł właściwej liczby, cztery osoby wszakże podały ilości bardzo zbliżone do faktycznej — 163, 169, 178 i 185. Jedna z tych liczb różniła się tylko o 1 od właściwej, druga o 6, trzecia o 10, czwarta o 16. Właściciel butelki zaproponował jeszcze jedną próbę i nieostrożnie podał powyższe odchylenia.

Uczestnicy konkursu niezbyt byli biegli w matematyce, to też w ostatniej próbie tylko jeden podał trafną liczbę. Liczbą tą jest...

Dokończenie ze str. 24-tej.

ręcej prosiła. Nie mogę cię nie całować, toby przechodziło moje siły. Trudno. Jesteśmy młodzi. Kocham cię.

Spojrzała na niego śmiejącemi się oczyma.

— Może przejdziemy się, aby oglądnąć pługi? — zaproponował.

Wyszli, trzymając się za ręce. Zbliżyli się do lokomotywy. W niewielkiej odległości od niej stały trzy sapiące pługi i przy akompanjamencie wycia silników, odrzucały śnieg stalowemi łapami. Robota dobiegała końca. Z lokomotywy, oblepionej śniegiem, wzbijał się w niebo czarny dym. Sople lodowe, wiszące na niej szybko topniały.

Pomocnik maszynisty rewidował koła.

Wrócili do przedziału wskutek zimna. Zdjął płaszcz z ramion Jane i pocałował ją przytem w kark.

— Czy zmarzłaś? — zapytał troskliwie.

— Trochę.

— Zabawię się w kaloryfer.

— To znaczy?

— Ogrzeję cię.

Usiedli i objęli się. Dzięki firankom nikt ich nie mógł widzieć z korytarza.

— ... a gdy będzie wiosna, pojedziemy na piękną wycieczkę w góry. Znam jedno piękne miejsce. Będziesz się opalała nad strumieniem, a ja będą łowił pstrągi. To moja druga namiętność.

— Oprócz jakiej? — spytała.

— Oprócz ciebie.

Pociąg drgnął, zatrzaskiwano drzwiczki, na korytarzu zaroiło się od kroków. Po chwili szereg pulmanów ruszył w dalszą drogę.

— Życie lubi płatać figle — rzekł sentencjonalnie pomocnik maszynisty do palacza, mając na myśli przerwę w ruchu.

— Życie jest jednak tragiczne — powiedział cicho dr. Brawford, spoglądając na martwe oczy przyjaciela.

— Życie jest piękne — szepnął jeszcze ciszej Wiliam do ucha Jane.

O tak! – to warto

zobaczyć... przeczytać... usłyszeć...



NA SCENIE

KRAKÓW. Teatr krakowski im. J. Słowackiego rozpoczął czwarty sezon dyrektury prof. Karola Frycza „powtórką" sztuk lekkich, granych u końca ubiegłego sezonu. Jako pierwszą nowość, jeszcze „letnią", dano dobrą komedję bulwarową Verneil'a i Berra pt. „Pociąg do Wenecji".

Sztuka ta posiada zalety właściwe wspomnianej spółce autorskiej, a więc zręcznie skomponowaną fabułę, lekkość, wdzięk i nawet pikanterję w dobrym tonie. Jest to historja o mężu, który potrafił zgrabnie wywieść w pole małżonkę i jej adoratora, pragnących uciec z Riwiery do Wenecji. Komedja obfituje w kapitalne sceny i posiada zgrabnie zarysowane postacie.

Komedję grają artyści krakowskiego teatru dobrze. Jedyną rolę kobiecą odtwarza nadzwyczaj miło Romana Pawłowska, a dzielnie sekundują jej Czajkowski, Macherski i Wroński. Przygotował sztukę reżysersko J. Karbowski.

Jedną z najbliższych premjer krakowskiego teatru będzie doskonała komedja b. artysty i reżysera krakowskiego teatru, Romana Niewiarowicza „Gdzie djabeł nie może". Sztuka ta, grana już na kilku scenach polskich, cieszyła się wszędzie wielkiem i zasłużonem powodzeniem.

ŁUCK. Teatr wołyński pod kierownictwem znakomitego aktora i reżysera Janusza Strachockiego rozpoczął już nowy sezon. Zespół teatru stanowią m. in.: Halina Drohocka, Dąbrowski Stanisław, Fertner Edward, Maliszewski Józef, Orłowski Piotr, Purzycki Stanisław. Ponadto w okresie sezonu wystąpią gościnnie wybitne siły teatrów warszawskich.

Reżyserję dzielić będą pomiędzy sobą dyr. Janusz Strachocki, Stanisław Dąbrowski oraz Kazimierz Rudzki, absolwent kursu reżyserskiego P. I. S. T. Stroną plastyczną teatru kierować będzie artysta malarz dekorator Tadeusz Kalinowski, uczeń prof. Wincentego Drabika i Władysława Daszewskiego.

Nowy sezon zainaugurowało znakomite dzieło Karola Huberta Rostworowskiego „Przeprowadzka", druga część słynnej trylogji po „Niespodziance", którą Teatr Wołyński uczcił pamięć genjalnego poety i dramaturga. „Przeprowadzka" znajduje się w opracowaniu scenicznem dyr. Janusza Strachockiego. Drugą premjerą we wrześniu będzie znakomita współczesna sztuka amerykańskiej spółki autorskiej Filipa i Aime Stuartów, w przekładzie Teodory Drzewieckiej „Szesnastolatka", cieszącej się do niedawna fenomenalnem powodzeniem na scenie Teatru Nowego w Warszawie.

Dalszy repertuar na październik zapowiada nieznaną na tutejszym terenie sztukę cieszącą się wielkim sukcesem na scenach polskich, pióra Stef. Kiedrzyńskiego „Oczy księżniczki Fathmy", oraz doskonała nowość ostatniego komedjowego repertuaru teatrów polskich i obcych pt. „W perfumerji" węgierskiego autora Miklos a Laszlo.

NOWE KSIĄŻKI

„Słupy ogniste". Pola Gojawiczyńska. Znających „Dziewczęta z Nowolipek" uderzy odrazu przy lekturze tej powieści nowy ton — ton dojrzałości i szerszego, wszechstronniejszego spojrzenia na świat. Przynajmniej w tej części, która dotychczas się ukazała. Bo „Słupy Ogniste" są zamierzeniem literackiem na wielką skalę, zapowiadają się jako nowa, obszerna wielotomowa powieść, obejmująca wielki obszar czasu, całe pokolenia.

Jeśli można wydawać sąd na podstawie jednego, coprawda bardzo obszernego (432 strony!) tomu, to ten nowy cyklowy utwór zapowiada się najciekawiej, najbardziej interesująco z tych wszystkich, jakimi w ostatnich latach obdarowały literaturę polską autorki, od Dąbrowskiej poczynając, na Naglerowej kończąc. Do tej prognozy upoważnia bardzo szeroki, epicki nurt opowiadania, w jaki umiała zamknąć treść Gojawiczyńska. Nie znaczy to jednak, aby opowiadanie było tak „zobjektywizowane", żeby nie widać było silnego związku z tem, co codzień niesie życie, „co jest trudem i ciągłem zmaganiem się do niewiadomej mety".

Najbardziej uderza w nowej powieści nowy ton, różny od tego, jaki dotychczas panował w twórczości Gojawiczyńskiej. To — afirmacja życia. Autorka porzuciła swą jednostronność afirmacyjną, która widziała ostro i wyraziście tylko pewne strony życia, innych nie dostrzegała zupełnie. Zdolność obserwacji rozszerzyła się, stała się wszechstronniejsza.

Akcja powieści zaczyna się przy końcu zeszłego stulecia. Malując dzieciństwo bohatera, Piotra Witkosza, podrzutka — daje autorka bardzo plastyczne i ciekawie potraktowane tło wiejskie. Piotr żeni się, przenosi do miasteczka — i znów mamy kapitalnie odmalowane, wcale nie szare, wcale nie bezbarwne życie małej mieściny. Pierwszy tom opowieści kończy się rozbrojeniem okupantów: bohater zaś powieści, przeszedłszy swój okres wiejski i małomiasteczkowy, wyjeżdża do stolicy — po nowe zapewne triumfy życiowe i nowe klęski.

„Słupy Ogniste", to jedna z najbardziej dodatnich pozycyj w naszej najnowszej literaturze, to powieść warta przeczytania, nacechowana głęboką znajomością duszy człowieka w jej najmniej spodziewanych przejawach.

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA

od 4 do 10 września.

Niedziela, 4 września.

12.03 Poranek symfoniczny.
16.30 Teatr Wyobraźni – „Dramat o Królowej Jadwidze" — Fr. Teodora Osokora.
17.00 Recital na klawesynie w wykonaniu Rachelle Thauvoye.
17.30 Tygodnik dźwiękowy.
20.05 Gra Ignacy Paderewski — nowe nagrania na płytach.
21.00 „W gabinecie pana doktora", wesoła audycja.
22.00 „Aida" — reportaż operowy.

Poniedziałek, 5 września.

16.00 Lekka muzyka włoska.
16.45 Miasto, w którem zaklęta jest dusza Japonji — felieton Romana Fajansa.
19.30 „Karty z zaczarowanej księgi" — koncert rozrywkowy.
22.00 „Pięć wieków dawnej muzyki" — XIII audycja.

Wtorek, 6 września.

16.00 Koncert Rozgł. Lwowskiej.
18.10 Paganini w muzyce fortepianowej.
19.00 Wolfgang Amadeusz Mozart: Kwartet F-dur.
19.30 „Tylko dla dorosłych"; I-sza część koncertu rozrywkowego.
21.10 II-ga część koncertu rozrywkowego p. t. „Tylko dla dorosłych".

Środa, 7 września.

16.00 Koncert zespołu Pawła Rynasa.
18.10 Recital śpiewaczy Heleny Karnickiej.
19.30 „Kobieta, wino i śpiew" — koncert rozrywkowy.
21.10 Koncert chopinowski w wykonaniu Zbigniewa Drzewieckiego.
22.00 Muzyka kameralna od Haydna do Ravela.

Czwartek, 8 września.

17.00 1.000 taktów muzyki w wykonaniu zwiększonego zespołu Stefana Rachonia.
18.10 „Tu Kujawy, tam Kujawy, są tam chłopcy do zabawy"; wykona chór chłopców szkoły powszechnej Nr. 5 z Torunia.
19.00 Edward Grieg — Sonata skrzypcowa Nr. 1 op. 8.
19.30 „Wspomnienia z teatru" — koncert rozrywkowy.
22.00 Koncert kameralny.

Piątek, 9 września.

16.05 Potpourri z operetek Pawła Abrahama.
18.10 Z fortepianowej twórczości Schuberta.
19.00 Recital śpiewaczy Włodzimierza Derwiesa.
22.00 Koncert symfoniczny.

Sobota, 10 września.

16.00 „Gdy mandoliny zadźwięczą", koncert.
17.00 Muzyka taneczna z Dorocznej Wystawy Radjowej.
19.30 Koncert rozrywkowy.
21.10 Z pieśnią i tańcem przez Wielkopolskę.
22.00 Koncert.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.